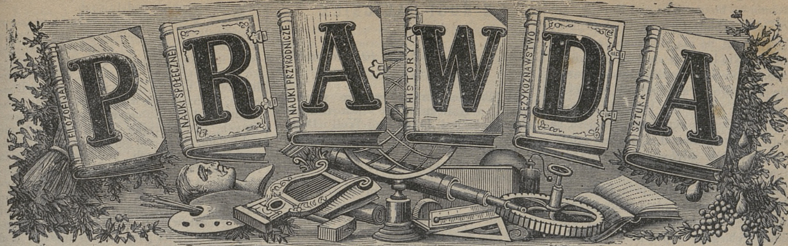
№ 29. Warszawa, dnia 17 (5) Lipca 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Administracya „Prawdy" mieści się przy ulicy Złotej, nr 23 nowy (9-A. dawny).

POLITYKA.

NOWE DRESZCZE.

Tak uroczyście zaprzysiężony, że długo miał wagę ewangelii politycznej, traktat paryski, podobnym dziś jest do kartki ze starej książki, na której późniejsze ręce zrobiły nielitościwą korektę. Z dawnego tekstu zostało już bardzo niewiele. Jest on dziś raczej pamiątką, zabytkiem tradycyi dyplomatycznej, ale nie rozdziałem kodeksu międzynarodowego. Że go już żaden reformator nie wskrzesi i mocy jego pierwotnej nie utrzyma — wszystkim wiadomo, bo przekreślają go wszyscy.

W ostatnich dniach znowu wymazała z niego jeden ustęp Rosya, dla której on był najuciążliwszym i przeciw której właściwie był wymierzony. Już podczas wojny francusko-pruskiej rozerwała pęta, krępujące ją na morzu Czarnem. Śmiały ten krok musiał mieć swój ciąg dalszy, który odbił się rzeczywiście przed kilku dniami w *Prawit. Wiestniku*, jako zniesienie swobody portu batumskiego. Układem w San-Stefano Turcya zobowiązała się do wypłacenia Rosyi 1,410 milionów rubli kosztów wojennych, nie mogąc zaś pokryć znacznej części tego długu, ustąpiła wierzycielce część Armenii z miastami: Kars, Bajazyd i Batum. Umowa ta — obok uznania niepodległości księstwa bułgarskiego — wywołała nieugięty opór Anglii, która groziła nawet rozerwaniem kongresu berlińskiego. Disraeli nie zgodził się nawet na okrojone żądanie (dolinę Alaszkert i Bajazyd zwrócono Turcyi) i dopiero gdy ks. Gorczaków oświadczył, że Batum będzie „portem wolnym," to jest dostępnym dla wszelkich okrętów i pozbawionym praw celnych, przyszedł do skutku słynny kontrakt berliński. Łamiąc obecnie jeden z jego warunków, Rosya usprawiedliwia się następującem rozumowaniem. Zastrzeżenie dla Batumu portu swobodnego nie było wspólną ugodą mocarstw, lecz dobrowolnem oświadczeniem Rosyi, która je cofa, gdy okoliczności, wymagające od niej takiego ustępstwa, znikły i gdy ono naraża ją na liczne szkody. Naprzód strata ceł przywozowych, dalej wydatki na utrzymanie kordonu, paraliżującego ekonomiczny rozwój miasta. Handel, zacieśniony w małej przestrzeni, nie wzrastał odpowiednio do materyalnej pomyślności. Przedsiębiorstwa przemysłowe za obrębem pasu celnego są niemożliwe, skutkiem nierównej walki ze współzawodnikami, otrzymującymi potrzebne artykuły bez opłaty cła (np. składy nafty). Władze otrzymywały z tego powodu ciągłe skargi. Nadto podróżni, a zwłaszcza okoliczna ludność wiejska była skrępowaną i obciążoną. Mieszkańcy wsi musieli opłacać cło od rozmaitych przedmiotów, nabywanych w Batumie, i to monetą brzęczącą, bardzo tam nieliczną, a niejednokrotnie legitymować się z pochodzenia odzieży. Nawet kobiety nie były uwolnione od rewizyi, co przejmowało zgrozą mahometan. Skutkiem tego wszystkiem paragraf 59 traktatu berlińskiego uchylono.

Gdy po znanem wystąpieniu *Journ. de St Petersbourg* przeciw ks. Aleksandrowi prasa europejska utkwiła swe oczy w zatargu rosyjsko-bułgarskim, zniesienie portu wolnego w Batumie zaskoczyło ją znienacka i naturalnie przeciągnęło jej twarze wyrazem niesmaku lub gniewu. Niektóre mocarstwa (zwłaszcza Niemcy) mogły być uprzednio powiadomione o zamiarze Rosyi, więc ich dzienniki przyjęły fakt sucho, ale bez wyraźnych znaków niechęci; inne uznały zmianę za leżącą „po za sferą ich interesów," inne wreszcie, a szczególnie Anglia uczuła się bezpośrednio dotkniętą—„wyzwaną." Gdzie Niemcy do gry nie wchodzą, tam spór przybiera łagodny charakter — i tym razem więc po za dąsami gazet nie widać skuteczniejszej od nich groźby — lasu bagnetów. Najbardziej zainteresowana Anglia, od pewnego czasu zdradza gniew bezsilny, w obecnym zaś wypadku tem bezwładniejszy, że jej wnętrze szarpie walka na długi czas zamotana i niezbiecująca tryumfu stałego żywiołom, energicznie przeciwstawiającym się Rosyi. Z urn wyborczych przyjazny jej liberalizm, a raczej gladstonizm wyszedł pobity, ale tylko w zakresie bilu irlandzkiego, jeżeli zaś stanie do rozprawy o ster rządów, opanuje go lub przynajmniej paraliżować będzie działania konserwatystów. Trwało i mocno ów mąż, który zastąpiłby drogę współzawodniczce w Azyi, lord Salisbury na czele państwa nie stanie, a ta wąska i niepewna podstawa udaremni mu śmiałe ruchy w polityce zewnętrznej i pochłonie jego energię w wewnętrznej. Nietylko więc zagarnięcie Batumu— według wszelkiego prawdopodobieństwa— odwetu poważnego nie zbudzi, ale i dalsze postępy Rosyi w kierunku wschodnim za zgodą Niemiec poważnego oporu nie spotkają.

Naprzód więc chodzi o to, jak daleko sięgać będzie owa zgoda Niemiec? Każda wróżba, zmuszona liczyć się z mnóstwem zmian nieprzewidzianych, jest tu niemożliwą. To tylko wydaje się niezawodnem, że wszelkie zwycięstwa dyplomatyczne chwili obecnej przybliżają ogólnie przepowiadany i nieunikniony wybuch polityczny. Ze wszystkich gazet, nawet pobratanych wspólnym interesem, wieje

duch wojny. „Myślmy o niej — woła *Graždanin* — bo ona wisi nad Europą, jej zapowiedzią są budżety wszystkich państw, w $^2/_3$ częściach na nią obliczane i zużytkowywane. Nie lękajmy się tego strasznego wyrazu. O ile i jak będzie można, starajmy się ją zażegnać, ale bądźmy zawsze do niej gotowi, ażeby nie była dla nas niespodzianką. Jest to tem konieczniejsze, że Niemcy tą myślą niemal wyłącznie zajęte, i gotują się, jak gdyby wojna miała wybuchnąć, jeśli nie dziś, to jutro." „Najciekawszem jest to — powiada *Swiet* — że szkalują nas wszędzie, gdzie tylko krzyżują się drogi i dróżki niemieckie." Uwagi podobne wybiegają z pod piór rosyjskich w porze, która na pozór łączy dwa narody tęczą trwałego pokoju.

Jednocześnie z postanowieniem co do Batumu przeleciała po gazetach zagranicznych wieść, że król rumuński nagle wrócił do stolicy, dla narady z ministrami w bardzo ważnej sprawie i że do Bukaresztu przybyli oficerowie rosyjscy, upoważnieni do układów o przemarsz wojsk rosyjskich. Wieści tej natychmiast zaprzeczono, ona jednak dotąd tula się po gazetach. Znakami czasu są nietylko prawdy, ale i plotki — najfałszywsze bowiem pogłoski, jakie się w nim rodzą i znajdują wiarę, należą również do jego znamion. I ta też charakteryzuje nietrwałość stosunków politycznych, powiemy nawet — utajone, może poniekąd nieświadome życzenie „klęski nad klęskami" — jak *Graždanin* nazywa wojnę. Że Batum obudził te obawy i życzenia, że nakarmił niepokojącą wieść— dziwić się temu trudno. Zrobiłaby to każda inna zmiana w stosunkach międzynarodowych i robić będzie póty, póki one nie usuną swego sztucznego oparcia. Książe bułgarski lub czarnogórski przemówi alarmująco do jednego ze swych pułków — i cała Europa poczuwa dreszcze, bo żyje w gorączce i trwodze. Wywołał je i Batum.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 10 lipca, 1886.

(Włościanie socyaliści.)

Wielkie a bardzo przykre wrażenie sprawił w Galicyi proces kilku rusińskich włościan ze wsi Jakubowej Woli i Dobrowlan, pow. Drohobyckiego przed sądem przysięgłych w Samborze, obwinionych przez prokuratoryę państwową o rozmaite przestępstwa, a mianowicie o podburzanie przeciw różnym warstwom społeczeństwa i przeciw własności (tem kancelaryjnem mianem nazywają nasze sądy wszelką krytykę obecnego ustroju społecznego w jakimkolwiek duchu), wyszydzanie obrzędów religijnych i samej religii, i wreszcie o zbrodnię obrazy majestatu cesarskiego. Rozprawa — przeprowadzona z wyłączeniem jawności — nie wydobyła z owych włościan żadnego „socyalizmu," pomimo, że wszyscy oni czytali zakazane książki treści socyalistycznej w rusińskim i polskim języku. Natomiast zasądzono trzech obwinionych na dość ciężkie kary (więzienie od roku do 2 lat, zaostrzone postem i ciemnicą) za obrazę majestatu i wyszydzanie obrzędów religijnych.

Nie w samym tym fakcie leży doniosłość samborskiego procesu, bo fakt to w naszych czasach dość zwykły, osobliwie w Galicyi, gdzie od lat dwudziestu przeszło z dyskusyi publicznej nie schodzą sprawy obrzędowe i gdzie obecnie między ludem, zwłaszcza między jednostkami więcej oświeconemi, jakiemi są wszyscy oskarżeni samborscy (władający dość dobrze dwoma lub nawet trzema językami: rusińskim, polskim i niemieckim), wobec nacisku z jednej strony jezuityzmu, z drugiej jego współzawodników, zajęcie się temi sprawami jest wysoce rozbudzone i krytyka bardzo łatwo przybrać może formy ostrzejsze, niż na to pozwala obecny, ultramontańsko-reakcyjny prąd pośród inteligencyi, a nawet ustawa karna. Główna waga procesu samborskiego leży właśnie w tem, jak zachowała się galicyjska inteligencya polska i rusińska względem tych objawów nowego ruchu umysłowego między włościaństwem. Śmiało powiedzieć możemy, że inteligencya ta zajęła tu stanowisko wcale niezaszczytne, świadczące o nader niskim poziomie pojęcia swobody i odsłaniające w całej nagości fałsz owych szumnych frazesów o potrzebie oświaty ludu na szerokich podstawach.

Wiem z opowiadania, że ława sędziów przysięgłych w Samborze początkowo w przedstawionym jej materyale dowodowym nie mogła dopatrzeć znamion nietylko socyalistycznej, ale także i przeciwreligijnej agitacyi i objawiała zamiary liberalne, dopuszczając w rzeczach religii i obrzędu swobodę mniemań w granicach prawnych, i to nietylko „inteligentom," ale i chłopom. Dopiero gorące upomnienia jednego z przysięgłych, polskiego szlachcica i obywatela okolicznego, skłoniły przysięgłych do wydania większością głosów wyroku obwiniającego. „U mnie, gdy chłop ukradnie kawałek drzewa z lasu — mówił ów przedstawiciel „porządku społecznego"— to idzie na parę dni do aresztu, a ci ludzie nie znają Boga, ani wiary! Pomyślcie, wszak to grozi nam całkowitem zniszczeniem, oni czyhają na nasze majątki, na nasze życie!!

Nie wspomniałbym o tym wylewie, gdyby poglądy samborskiego przysięgłego szlachcica nie były się odbiły i w prasie polskiej, a mianowicie w *Czasie* krakowskim. Ten sam pobożny organ, który niedawno ciskał gromy na całą prasę liberalną za ogłoszenie wiadomości o rozruchach mazurskich, teraz pierwszy pospieszył z doniesieniem o zasądzeniu niebezpiecznych chłopów, „socyalistów i ateuszów" i przy tej sposobności rozmachał się tak szeroko, że wskazał na rusińskie czytelnie ludowe, jako na ogniska zdrożnej agitacyi, zapowiadając z góry, że sąd nie poprzestanie na procesie samborskim, lecz wykopie dalsze korzenie i nici tej roboty po wsiach i miastach wschodniej Galicyi. Wspomniał nawet o odpowiedzi namiestnika, danej deputacyi „Narodnej Rady," o owej odpowiedzi, w której p. namiestnik całą kwestyę konstytucyjnej swobody sprowadził do „względu zaufania władzy politycznej," t. j. do *absurdum.* ~~Jednem słowem,~~ *Czas* przedstawił sprawę włościan dobrowlańskich na szerokiem tle Galicyi wschodniej, podminowanej socyalizmem i ateizmem rusinów i dojrzałej do stanu wyjątkowego.

Tej denuncyatorskiej piosence dzielnie zawtórował *Nowy Prolom*, chociaż postawił kwestyę na ciaśniejszem stanowisku. Agitacya socyalistyczna, ateistyczna i anarchiczna w Dobrowlanach i Woli Jakubowej dla niego była daleko widoczniejszą, niż dla samborskiego sądu po przeprowadzeniu 6-miesięcznego śledztwa. „My wie-

---

2)

Z DZIENNIKA PESYMISTY.

III.

Piękno wobec prawdy.

Ubrałaś twą ładną główkę w kwiecie i brylanty, rzucasz uśmiechy dokoła, jak promienie słoneczne.

Czyste twe serce odzwierciadla piękno ziemi, a dusza twoja ożywia twory wszechświata.

Nie masz cierni na drodze życia twojego, stopa twoja nie zna trudu — bo tłum nie jest twoim ojcem.

Skrzydła motyle, tęczowe unoszą cię do krainy marzeń kwiecistych, gdzie nie ma ani bolu, ani chłodu, ani łez rozpaczy, ani szyderstwa.

Tyś dumna pychą książąt świata; tyś dumna, boś błogosławiona, bo kwiaty zaścielają twe ścieżki, bo nie znasz łez.

* *
*

I ujrzałaś w twej wędrówce istotę badawczą a bezwzględną. Zadziwiła cię jej nagość i prostota; więc chcąc ją upiększyć twojemi barwami, stanęłaś przy niej, a z ust twych upadł uśmiech, jak bukiet róż.

— Kto jesteś?.. — spytała cię zdumiona.

Spojrzałaś czarownie, a dobrotliwie i rzekłaś:

— Jam jest radością synów ziemi: upiększam życie, uszlachetniam ród ludzki, wyrywam go z pyłu i nicestwa, i wznoszę ku niebu.

— Zaprawdę, tyś wielka!.. Widziałam cię, i twe poloty, i tęczę promienistą twego czoła, a nie odgadłam twego posłannictwa. Niebaczna, myślałam, żeś jest rozrywką szczęśliwych; żeś rada być tam, gdzie nie troszczą się o chleb powszedni, nie znają mozolnej pracy, nie drżą od zimna. Przebacz, lecz ile razy spotrzegłam jarzące światła, wesołe oblicza, pląsy — często-kroć i ty tam byłaś; a nawet — niestety — czasami obok obłudy... Wiem, że ci składają hołdy, wynoszą pod niebiosa, stawiają świątynie, lecz nie mogłam cię zrozumieć. Dzięki, żeś wobec mię stanęła. Spraw, bym cię poznała do głębi; dlatego odpowiedz mi na dwa pytania. A pierwsze jest takie:

Urodziły się dwa pieski: jeden biały, drugi czarny; innej różnicy między nimi nie było. Przechodziło tamtędy małe pacholę, co strzegło trzody wiejskiej, ukłoniło się właścicielowi piesków, wyprosiło jednego z nich i wzięło czarnego. Przechodziło w tymże czasie inne pacholę, które było pielęgnowane na dworze wiejskim, upodobało sobie także pieska, ukłoniło się właścicielowi i wyprosiło białego. Czarny piesek całe dnie przepędzał w polu, strzegąc trzody i dzieląc niewczas, chłód i znoje ze swym nowym właścicielem; za cały pokarm miał okruchy z sakwy pastuszej, leczi tych nieraz brakło. Więc stał się kudłatym i chudym, a głowę ponuro zwiesił ku ziemi. Biały piesek, przeciwnie, miał wszelkie wygody i dbałość otaczających: był okryty różowym płaszczykiem i karmiony takiemi łakociami, o jakich nawet właścicielowi czarnego pieska ani się śniło. Więc był czysty, rzeźwy i ochoczy; miał oczęta wesołe i główkę wzniesioną do góry. Powiedz mi, czarodziejko ziemi, który z piesków lepszy?..

— Czysty i ochoczy.

— Słyszę twą odpowiedź i rozumiem; teraz daję drugie pytanie:

Rosły dwie brzozy obok siebie: obie miały wspólny pień i wspólne korzenie, obie były wyniosłe, śliczne i zdrowe. Razem wzrastały przez długie lata, szemrząc wesoło wiosną, a smutno jesienią, bo smu-

my bardzo dużo — pisał ten dziennik — lecz milczymy jeszcze.“

Księża z Dobrowlan i Woli Jakubowej, w połączeniu z najciemniejszymi i najniżej moralnie stojącymi żywiołami wiosek, byli pierwszymi oskarżycielami faktycznych przekroczeń i urojonych zbrodni, byli klasycznymi świadkami w procesie. Denuncyacye szły z początku do starostwa drohobyckiego, następnie zebrany materyał wysłano do konsystorza przemyskiego, który oddał go sądowi. Jeżeli z jednej strony wspomnimy, że to samo duchowieństwo tak pilnie wychwala siebie jako krzewiciela oświaty ludowej, a z drugiej postawimy fakt obecny (jeden z wielu), gdzie przeciw oświeceńszym włościanom, przeciw ich czytelniom i stowarzyszeniom występuje wrogo, nieraz w porozumieniu z żydami i innemi pijawkami ludowemi; to jasno przedstawi się nam smutne położenie społeczeństwa wobec takiej obłudy. Bo jeżeli chcecie oświaty, to bierzcie ją ze wszystkimi jej skutkami, a więc i z krytyką — a jeżeli chcecie trzymać chłopa w ciemnocie, to pocóż krzyczeć o oświacie?

Cała ta polityczna i etyczna demoralizacya naszego „inteligentnego“ społeczeństwa jest na rękę jedynie władzom administracyjnym, bo umożliwia im całkiem samowolne i antikonstytucyjne gospodarowanie w kraju, pod przykrywką śledzenia socyalizmu i innych tego rodzaju izmów. Dość przytoczyć następujące fakty z ostatnich czasów. W huculskiej wsi Żabiu aresztuje żandarmerya naczelnika, radnego i pełnomocników gminy pod zarzutem socyalizmu, chociaż ogólnie było wiadomem, że ludzie ci, jeżeli czem zawinili, to chyba tem, że starali się, wedle możności, bronić gminę od ostatecznej ruiny przez bandę inteligentnych opryszków i w tym celu chodzili w deputacyi do namiestnika, marszałka krajowego i do samego cesarza. We Lwowie urząd cłowy przywłaszcza sobie prawo otwierania wszystkich zagranicznych posyłek i dawania wszystkich książek, a nawet rękopisów do cenzury policyjnej, pod pozorem, że to mogą być rzeczy zakazane, chociaż wcale nie jest uprawniony do cenzurowania książek, a rękopisy u nas ani w urzędzie cłowym, ani w policyi, ani nigdzie wogóle żadnej kontroli podlegać nie mogą. Urzędy pocztowe po prowincyi przywłaszczają sobie to samo prawo i otwierają listy z adresami „podejrzanymi,“ ściągając na wysyłających rewizye i śledztwa dyscyplinarne. Namiestnictwo zabrania w Kołomyi zawiązania towarzystwa mieszczańskiego dla kontroli czynności Rady miejskiej i gospodarki gminnej, i dopiero trybunał państwowy kasuje jego orzeczenie i przyznaje mieszczanom prawo do zawiązania takiego stowarzyszenia. A polska prasa więcej wpływowa albo milczy o takich faktach, albo nawet pochwala postępowanie władz, mniej zaś wpływowa i bardziej niezawisła podpada niemiłosiernym konfiskatom za wszelką próbę krytyki postępowania władz. Ciężkie czasy!

I. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na półwyspie bałkańskim zbierają się znowu drobne chmurki, z których w każdej chwili lunąć może wielki, krwawy deszcz. Nie mówimy tu o groźnych dla pokoju pogłoskach, jak np. o zajęciu Bułgaryi przez wojska rosyjskie, gdyż nieprawdopodobna ta — na dzisiaj — wiadomość została odwołaną, ani o innych również niepokojących projektach, ale mamy na myśli cały szereg drobnych wypadków, świadczących, że wszystkie państewka bałkańskie gotują się do walki, której jednak ani czasu, ani rozmiarów obecnie przewidzieć nawet nie można. Bułgarya zawarła układ z Rumunią, którego rezultatem widocznym jest odstąpienie owej Arab-Tabii, przed kilkoma laty służącej jako przedmiot sporów dyplomatycznych; umowa zaś ta posiada jeszcze tajne warunki. Rozkaz do armii bułgarskiego ministra wojny zawiera w sobie zapowiedź nowej wojny, w której Bułgarya, postawiona „jak dom przy drodze wspólnej dla int. resów państw wielu,“ bronić musi nietykalności swej siedziby. Rząd serbski zbiera wojsko na południowej granicy królestwa, jak gdyby chciał próbować ponownie szczęścia wojennego. Jednocześnie pretendent do tronu, książe Karageorgewicz, agituje otwarcie przeciw Milanowi, znajdując poparcie w Czarnogórzu. Czarnogórcy znowu toczą ciągle walki z albańczykami i zapasy te nie mają już charakteru zwyczajnych bijatyk granicznych, ale przechodzą w poważną, chociaż na partyzancki sposób prowadzoną, wojnę.

Wobec takich znamion niepokoju na Wschodzie niespodziewane oświadczenie rządu rosyjskiego, że znosi port wolny w Batumie, istniejący na zasadzie art. 59 traktatu berlińskiego, wywołać musiało nowe obawy. Najbardziej gniewają się anglicy, dla ich bowiem interesów handlowych jest to dotkliwa szkoda; gazety radzą nawet, żeby Anglia ogłosiła zniesienie postanowień o neutralności cieśnin (Bosforu i Dardaneliów), ponieważ traktat berliński jest naruszonym wyraźnie. W rzeczywistości jednak sprawa stoi inaczej nieco; postanowienia o cieśninach są zobowiązaniem międzynarodowem, podówczas gdy istnienie portu wolnego w Batumie opierało się tylko na dobrowolnem i jednostronnem oświadczeniu rządu rosyjskiego, który miał prawo cofnąć je w każdej chwili. Sprawa batumska zajmuje silnie opinię publiczną w Anglii i rezultatem jej będzie zapewne stanowcze przechylenie na stronę konserwatystów szali zwycięstwa w walce wyborczej, tembardziej, że szala ta i tak już skłania się na ich korzyść.

Rezultaty wyborów do parlamentu nie są jeszcze szczegółowo określone, dzisiaj jednak powiedzieć już można, że polityka Gladstone'a nie pozyskała poparcia większości wyborców. Tylko irlandczycy przeprowadzili swoich posłów i pozyskali nawet nowe okręgi. Obecnie idzie o to, czy zachowawcy otrzymają bezwzględną większość, czy też, co jest prawdopodobniejszem, będą zmuszeni wejść w układy z t. zw. odszczepieńcami liberalnymi. Ale tych ostatnich i Gladstone pewnemi ustępstwami może łatwo pozyskać.

Rząd francuski zastosował znowu prawo o wydalaniu pretendentów; po wygnaniu bowiem tytularnych przedstawicieli królestwa i cesarstwa, wykreślono z list armii innych książąt. Jeden z usuniętych w ten sposób, ks. Aumale, zaprotestował przeciw rozporządzeniu rządu zuchwałym listem, wystosowanym do prezydenta Rzeczypospolitej. W odpowiedzi otrzymał i on również rozkaz opuszczenia granic Francyi. Skrajni legitymiści francuscy, niezadowoleni z postępowania książąt orleańskich urządzili sobie zabawkę i ogłosili nowego pretendenta. Tym „tytularnym“ królem jest Don Juan Bourbon, ojciec don Karlosa, „króla“ hiszpańskiego; spokojny staruszek, który z powodu słabego rozsądku odstąpił swe „prawa“ do tronu hiszpańskiego synowi. Dla rzeczypospolitej taki pretendent jest bardzo dogodnym, ze strony jego nie grozi istniejącemu rządowi żadne niebezpieczeństwo. W obozie monarchistów zaś ogłoszenie nowego „króla“

---

tek i wesele ich były wspólne. I przyszedł onego czasu drwal siwy i zmękany, spojrzał na brzozy, a widząc, że obie mają jeden pień, ściął je od razu i powiózł do domu. Była to zima, mróz był krzepki. W chałupce drwala było chłodno, aż mu dzieciska drżały. Porąbał starzec jednę z brzóz, wrzucił do pieca i podpalił. Buchnął płomień, zbliżyły się maleństwa do ognia i zjawił się uśmiech na ich twarzyczkach. Gdy się drwa spaliły, w ciepłej izbie zadźwięczał szmer wesoły; drwal rozjaśnił czoło, patrząc na igraszkę dziatwy i uśmiechnął się; potem wygarnął z pieca popiół i wyrzucił.

Drugą brzozę odprzedał snycerzowi. Mądry rzeźbiarz ociosał ją, ogładził i skleił z niej misterną figurę świętego; postawił na rozstaju, a ludzie, którzy tamtędy przechodzili, zachwycali się wdziękiem roboty, przed świętością zdejmowali czapki i kornie uchylali czoła.

Powiedz mi, która z brzóz lepsza?

— Ta, która zachwyca i wzbudza szacunek.

— Dzięki ci za twe zdania... — bądź zdrowa!

— Dokądże-to?.. Nie odchodź!.. Pozwalam ci być moją towarzyszką.

— O nie! Tyś ubłogosławiona, a jam wyklęta na ziemi, więc nasze drogi nie mogą mieć wspólnego celu; spotykać się niekiedy możemy, ale dążyć razem — nigdy!..

— Któż ty jesteś, ty, do której zbiegłam z mych wyżyn, nie bacząc na twą nagość i nędzę?.. — zawołała obrażona piękność.— Powiedz, niech wiem twe imię.

— Ja—rzekła bezwzględna istota, zwracając twarz, napiętnowaną cierpieniem — jestem Prawdą.

I odeszła.

IV.

Mędrzec - waryat.

Odarty cynik, syn tłumu zapalił latarkę i wyszedł szukać człowieka; na co mu był potrzebny, nie powiedział.

Pontyusz wywiódł na krużganek mistrza i stojąc przed tłuszczą, zawołał: oto człowiek!

Wówczas dowiedziałem się, na co synowie tłumu szukali człowieka — żeby go zabić.

— Nie, to nie był człowiek, lecz Bóg!..— wołał tłum w zamieszaniu, po spełnionej zbrodni i tem tylko uniewinnił się.

Gdy wczoraj o tem rozmyślałem, mój argus, który widzi wnętrze duszy, zostawił na oknie latarkę.

Udaje, że ją zapomniał, a tymczasem chce, bym znalazł człowieka; zrozumiałem teraz... tak... jestem odbiciem Dyogenesa. Teraz wiem, dlaczego Aleksander Macedończyk pytał mnie:

— Czy ci dobrze?..

— Tak... dobrze mi — mówiłem dumnie — niczego od ciebie nie potrzebuję! Tyś władca, tyś wielki dla innych, ale nie dla mnie; jam większy od ciebie, jam nicość... ja nie będę tobą, a ty nie będziesz mną.

Zapaliłem latarkę i wszedłem do sali.

— Panowie — rzekłem — chociaż między wami niektórzy są waryaci, lecz pozwólcie mnie, Dyogenesowi, spojrzeć na was; szukam człowieka.

Zrozumieli o co chodzi i uciekli; odgadli, że jeżeli kogoś nazwę człowiekiem — zginie.

Wtem przybiegł argus i wyrwał z moich rąk latarkę; o jakże się obraził! On chce, bym mu tajemnie wskazywał ofiary — nie, nie zgadzam się na to... jam cynik! Jeżeli poznałeś mnie, powinieneś był wiedzieć o tem, czemu ja, gdy odgadłem, żeś jest odbiciem argusa, a wszechwładny dozorca, odbiciem macedończyka, wiem, czego się po was mogę spodziewać?.. Dawniejbym

wywoła, bądź co bądź, pewne rozdwojenie.

Zjazd cesarzów austryackiego i niemieckiego odbędzie się w Gasteinie 18 sierpnia; przedtem jeszcze nastąpi porozumienie Bismarka z Kalnokym.

Pruski minister finansów, p. Scholtz, podaje się do dymisyi, z powodu odrzucenia prawa o monopolu wódczanym; właściwie dymisya została mu wprost udzieloną, p. Scholtz bowiem, jak wielu już jego kolegów, jest kozłem ofiarnym za omyłki polityki ekonomicznej kanclerza.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŻYCIE PARYSKIE.

Paryż, 25 czerwca.

Paryż latem. — Zabawy i festyny. — Ich charakter ludowy. — Pierwiastek ludowy we Francyi i u nas. — Swoboda i ład.

Przyroda ma swe pory roku — dlaczegożby życie ludzkie ich nie miało? Człowiek jest przecie cząstką tej natury, żyje na jej łonie, odbijają się więc na nim zmiany, zachodzące w życiu tej wielkiej macierzy chronicielki i żywicielki, którą nazywamy ziemią. Nie darmo też Zola najnowszą swą powieść, *la Terre*, którą wydać ma z początkiem roku przyszłego, podzielił na pory roku. Rzecz dziać się ma wprawdzie na wsi — i Paryż jednak innym jest w lecie, niż w zimie. Zimą skupia się on w jedno ruchliwe, rojne, myślące i pracujące mrowisko, w lecie ognisko to rozdziela się daleko po za właściwy swój obręb. Zimą promienieje mocą swego wewnętrznego ciepła, latem, zamknięte w niem rzesze, robią wielką wycieczkę po za wały na podbicie powietrza, zieleni i słońca. Życie wylewa się wielkiemi falami na zewnątrz.

Nim jednak to nastąpi, skoro tylko słońce wiosenne rozproszy wiszące wciąż po nad miastem mgły i chmury dżdżyste, nadsekwańska stolica zaczyna gotować się i szumieć, jak ul przed wyrojeniem. Wszystko ożywia się: w Izbie poselskiej wraz z pierwiosnkami występują zazwyczaj wnioski, mające na celu lato Rzeczypospolitej (sprawa np. wydalenia pretendentów, oddzielenia kościoła od państwa itp.); literatura wypuszcza zielone źdźbła i barwne pęki lub strzela fajerwerkami, które współzawodniczą z ogniami sztucznymi, unoszącymi się o mroku nocnym, co wieczór prawie, nad ogrodami i placami publicznymi.

Ogrodowe te zabawy były szczególnie liczne tej wiosny. Dla wstrząśnięcia panującego zastoju w interesach, urządzono w połowie maja, trwający przez tydzień, festyn handlu i przemysłu. W program tej zabawy wszedł i wojskowy karuzel na Placu Marsowym, i historyczny korowód, i zabawa w ogrodzie Tuileries, gdzie wybudowano sławną z czasów przedrewolucyjnych w Paryżu gospodę *aux Porcherons*; posługiwali w niej garsoni i subretki w kostyumach z czasów Ludwika XV. Można było łacno się przekonać, jak cudownie nadobnym paryżankom było do twarzy w białych perukach i zgrabnych sukienkach *Louis quinze*. Dalej odbyła się w Tuileries również zabawa kwiatowa, następnie zabawa na rzecz ofiar obowiązku i mnóstwo festynów miejscowych w każdym okręgu Paryża, następujących po sobie bez przerwy do późnej jesieni.

Są to wszystko igrzyska ludowe, których głównym wabikiem są karuzele, młyny dyabelskie, huśtawki, teatry maryonetek, siłacze, woskowe figury, wróżki, różne dziwowiska, tańce wreszcie na świeżem powietrzu itp. Myliłby się jednak, ktoby tę „ludowość“ pojmował w ścisłem znaczeniu. We Francyi całe mieszczaństwo wyszło i wychodzi wciąż z ludu wiejskiego, dlatego też przedział między tymi stanami jest zupełnie nieznaczny. Zwyczaje i obyczaje, również jak i upodobania są prawie jednakie lub nieco tylko zmienione. To też siadają w Paryżu na karuzele damy, które w Warszawie sromałyby się o nie nawet obetrzeć. Tu przeciwnie, na każdym kroku, na licznych drobiazgach spostrzegać można, jak klasy zamożniejsze wyrastały na pniu ludowym, zmieniając tylko stopniowo wyniesione ze wsi nawyknienia. Ten rozwój od dołu, od podstaw śledzić tu można we wszystkich kierunkach. Począwszy od domów, z których wiele bardzo w samym środku Paryża przypomina, w drobnych nawet szczegółach, chaty wiejskie, budowane we Francyi wszędzie prawie z kamienia i przechodząc do potraw używanych powszechnie, ubiorów, obyczajów, tańców, zachowania się i wzięcia — wszystko to jest rdzennie ludowe. Objaw ten uderza każdego uważnego spostrzegacza, przybyłego z nad Wisły. U nas bowiem inaczej. U nas liczny nadzwyczaj stan szlachecki wyrobił sobie świat własny, zupełnie od ludowego odrębny. Obce mieszczaństwo stanęło murem między ludem i szlachtą; między tymi żywiołami nie było żadnych prawie oddziaływań. Różne przytem i mnogie szlachectwo nadało ton i nadaje go do dziś całemu społeczeństwu. Dziś obyczaje szlacheckie rozlewają się na mieszczaństwo i całe społeczeństwo; pierwiastek ściśle ludowy zupełnie jeszcze prawie nie przeniknął do klas zamożniejszych i sam ulega wpływowi kultury szlacheckiej. Dlatego też u nas przedział między „inteligencyą“ i ludem tak znaczny, dlatego inteligencya ta patrzy z góry na lud i wszystko co zeń wychodzi.

Do ożywienia zabaw paryskich przyczynia się także wiele usposobienie mieszkańców i ta iście demokratyczna swoboda, z jaką się tu oddają rozrywkom. Dzieci, wyrostki bawią się tu po ulicach, jak w domu, krzykliwie i gwarnie. W ogrodzie Luksemburskim, który jest tem dla łacińskiej dzielnicy, czem Saski dla Warszawy, widzę codziennie roje uczniów, chłopców częstokroć pod wąsem, grających z całą swobodą w piłkę lub inne gry, bez zwracania uwagi na wystrojone damy, przechodzące opodal. Zazwyczaj przytem w tych razach zrzucają się surduty, czego tu nikt za złe nie bierze. W tymże ogrodzie obrało sobie siedzibę towarzystwo gry w piłkę, tradycyjną *jeu de pommes*, złożone z ludzi dorosłych, którzy tak, pozrzucawszy surduty, bawią się wobec licznie zebranych widzów. Nie ma tu tego ceremonialnego sznurowania się, które skrochmala u nas zabawy towarzyskie. Nasza młodzież gimnazyalna klas wyższych odegrywa już rolę ludzi poważnych i układnych dandysów, obawiających się uchybić w czemkolwiek arystokratycznemu tonowi. Co kraj to obyczaj. W Paryżu i studenci uniwersytetu wyprawiają po ulicach takie wesołe skoki i susy, jakich sobie u nas nie pozwalają już trzecioklasiści...

Wspominaliśmy, że Paryż latem wylewa się na zewnątrz. Klasy zamożne po Salonie, po wielkich wyścigach, które tu są także zabawą ludową, po zamknięciu teatrów wyruszają na wieś lub nad morze. Nie zagranicę, bynajmniej, bo nikt tu po za krajem zabawy nie szuka. *Tout-Paris* bogaty i błyszczący przenosi się wtedy do wiejskich „zamków“ i miejsc kąpielowych.

---

nie rozumiał was, a dziś rozumiem. Ha! wielkie odkrycia często zależą od wypadków.

Razu pewnego, rozmawiając z przyjacielem, spojrzałem w zwierciadło i widzę, jak dwie osoby za szkłem wypełniają najskrupulatniej wszystkie nasze ruchy. Wstrząsałem głową, targałem rękę — jedna z tych osób czyniła toż samo.

Odgadłem, że jej postępki zależą od mego widzimisię; że jestem despotą jej woli — i stałem się dumny.

Wtem widzę, za szkłem otwierają się drzwi i wchodzi jakaś nieznana osoba. Odwracam głowę i spostrzegam w moim pokoju odbicie tamtej. Zadałem sobie pytanie: która jest rzeczywistością, która złudzeniem?

I wówczas, w jednej chwili odgadłem, że cała nasza ludzkość jest odbiciem innej ludzkości, takiej, która rozumie swe posłannictwo; takiej, która stworzona na obraz i podobieństwo...

Więc tam, gdzieś na firmamencie jest zwierciadło i rzuca nas, odzwierciadlone istoty, na ziemię... istoty bez dusz i pojęcia o samych sobie.

Długo patrzyłem wówczas na ulicę i widziałem wiele rzeczy, dowodzących, że się nie mylę.

Widziałem młodzieńca, który szedł z głową dumnie podniesioną do góry. Był to głupiec i błazen, a dumnym jest, bo musi, bo przed zwierciadłem istnieje młodzieniec, który zaparciem się i bolem Prometeusza zbawił całą ludzkość, więc dumnym jest z tego; a ten — u nas — musi go odzwierciadlać.

Widziałem starca, jadącego w karecie — znałem go: był to hultaj, który w całem życiu własną pracą nie zdobył nic, powinien był chodzić w łachmanach i żyć z jałmużny, lecz odzwierciadla człowieka pracowitego, który służy całemu społeczeństwu i tyle ma zajęć, że, dla skrócenia czasu na przebycie drogi, musi jeździć.

Widziałem kobietę upstrzoną, z malowaną twarzą, z bezmyślnym wzrokiem, około niej snuł się orszak mężczyzn, zachwyconych jej rozmową. Była to istota bardzo głupia lecz odzwierciedlała lalkę na sprężynach, której mechanicy przypatrują się i podziwiają misterność roboty.

Od tego czasu wpatrywałem się we wszystkich, bo według tych złudzeń chciałem zrozumieć, jaki jest świat istotny.

Porwano mię i zamknięto tutaj.

Macedończyk postawił przy mnie Argusa, który wdziera się do wnętrza mego i chce mi wyrwać każdą myśl z głowy.

Kryję się, nie myślę nawet przy nim; wczoraj jednak zajrzał i wnet poznał, że jestem odbiciem Dyogenesa.

Ha, może i lepiej, bom siebie nie mógł odgadnąć i mniemałem, że jestem odbiciem największej istoty wszechświata — nicości.

...W tej chwili nawiedził mię mój przyjaciel, odkryłem przed nim mą wiedzę... Niech zna ustrój świata.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem, lecz wnet poczuł zazdrość i jął mówić:

— Daj pokój! czy warto myśleć o tem, co dzieje się po za światem.

O ludzie, ludzie...

Zagniewany, stanąłem przed zwierciadłem i znęcałem się nad człowiekiem. Kazałem mu płatać najrozmaitsze figle. Co też o nim mówili jego przyjaciele?.. Może go nazwali waryatem?!.. A jeżeli tak... Jacyż oni głupi... rozprawiają o tem, czego nie rozumieją.

(D. n.).

Brolis.

Mniej zamożne mieszczaństwo zalewa wille podmiejskie, które szerokim wieńcem otaczają Paryż. Jeszcze mniej zamożni lub przykuci zajęciami do miejsca urządzają tylko wycieczki w dnie świąteczne. Skoro świt wtedy, szczególniej gdy pogoda dopisze, odbywa się wszystkiemi liniami komunikacyjnemi wielka wędrówka paryskiego narodu za miasto. Jak w czasach historycznych wędrówek wyruszają tu rodziny z tłomoczkami i zapasami na dzień cały. Zakochane pary nie omijają nigdy takich wycieczek; ludzie chodzący luzem wiążą się w grona koleżeńsko-przyjacielskie lub czepiają rodzin. Trzeba zaś widzieć, z jaką swobodą ta masa bawi się za miastem i w jak dobrych humorach powraca! Zasługuje na zanotowanie i ten szczegół, że w żadnych ogrodach paryskich i zamiejskich nie ma przepisów, że „po trawnikach chodzić nie wolno“ — i mimo to trawniki bywają świeże i zielone. W dni też świąteczne wielkie murawy i gazony lasku bulońskiego, Saint-Cloud, Meudon wyglądają jak kobierce utkane barwnem kwieciem uroczych paryżanek. Po tem stratowaniu niedzielnem wracają napowrót do swego pierwotnego stanu, tembardziej, że są starannie utrzymywane i polewane codziennie za pomocą bardzo dowcipnie urządzonych kiszek skórzanych, rozprowadzających wodę naokół. Późnym wieczorem trudno docisnąć się do statków i omnibusów, zwożących rozbawione rzesze do miasta. Źle powiedziałem „docisnąć się,“ nikt tu się bowiem nie ciśnie, lecz wszyscy najspokojniej, z cierpliwością zasługującą na podziwienie, szykują się w długie ogony (queues) i każdy czeka swej kolei. Nigdy żadnego zamieszania i nieporządku. Cały lud wraca sobie najspokojniej, mimo wesołości, do swego zwykłego łożyska. Tak bawi się Paryż latem.

P.

BADANIA NAUKOWE.

SZCZEPIENIE WŚCIEKLIZNY.

W korespondencyi mojej z Paryża przedstawiłem już czytelnikom zasady i metodę szczepienia wścieklizny. Obecnie szczepienia te prowadzą się u Pasteura w dalszym ciągu, pracownia tylko do badań wścieklizny została odłączoną od „Ecole Normale“ i przeniesioną do nowego budynku tymczasowego przy ulicy Vauquelin, gdzie oddawna już pracuje Chamberland nad osłabieniem karbunkułu. Tam również mieszczą się większe i mniejsze zwierzęta do prób nad odkrytemi dotąd przez Pasteura ochronnemi szczepieniami różnych chorób (karbunkuł, cholera kur, róża świń, wścieklizna).

W początku czerwca, po dokładnem poznaniu metody, zwróciłem się do Pasteura z prośbą o danie mi świeżo zaszczepionego królika. Dotąd uczony francuski nie robił tego z powodów, zrozumiałych zresztą; gdyby odrazu rozproszył był swój materyał na kilkanaście laboratoryów, nie mógłby dokonać w prędkim czasie tylu szczepień, a więc zebrać odpowiedniej statystyki. Gdy teraz ilość szczepionych wynosiła około 1,200, chętnie udziela pracującym u siebie zagranicznym lekarzom żądanych królików. Nie jest to więc zazdrość, jak chcą niektórzy, lecz po prostu ostrożność i chęć ułatwienia wyników własnego odkrycia. Prośba zatem moja nie doznała trudności. Pasteur dał mi królika zaszczepionego 115 pokoleniem szczepnem wścieklizny, oraz zezwolił na dalsze próby teoretyczne i zastrzykiwania leczniczo-ochronne.

Króliki takie otrzymali również: dr. Mott z New-Yorku, dr. Ullman z Wiednia, dr. Unkowskij z Moskwy, dr. Parszenskij i Iwanow z Samary, dr. Hamaleja z Odesy.

Mając więc jad ochronnej wścieklizny, pozostawało mi tylko zużytkować go odpowiednio w Warszawie. W przeszłym roku urządziłem pracownię do celów bakteryologicznych, według wzoru, lecz na mniejszą skalę od tej, jaką poznałem u prof. Kocha; trzeba było tylko niewielu nowych przyrządów, które zakupiłem z pieniędzy pozostałych z funduszów, udzielonych mi przez Kasę Mianowskiego.

Obecnie mam już całą seryę rdzeni ochronnych i od 1-go lipca prowadzę prawidłowe szczepienia metodą Pasteura. Dotąd zgłosiło się 11 osób, po większej części robotników i włościan, pokąsanych przez psy wściekłe.

Pierwszą chorą była Janina Boczkowska z Biały Podlaskiej. Jej ojciec, lekarz weterynaryi, sam robił sekcyę psa, który przed 35 dniami córkę pokąsał. Oznaki charakteryzują niewątpliwą wściekliznę. Mała pacyentka odbyła do dziś (11 lipca) 6 injekcyj i przechodzi obecnie niebezpieczny okres bez złych następstw; sądzę więc, że już może być uważana na uleczoną.

Następnie przybyło 6 osób z Opatowa. Dziewczynka 8-letnia, draśnięta bez krwi, została wyłączoną z kuracyi. Czworo dzieci innych ulega codziennym szczepieniom bez powikłań. Ponieważ są to dzieci drobne, od 7—12 lat, nie mogłem umieścić ich w oddziele szpitalnym na Woli, którego Rada miejska użyczyła mi łaskawie; wedle możności więc poumieszczałem je prywatnie u chętnych osób, którym też składam niniejszem dzięki.

Pies, który pokąsał przybyłych z Opatowa, był dysekowanym po śmierci (naturalnej) przez lekarza weter., p. Chrzanowskiego z Sandomierza, który też przywiózł mi rdzeń przedłużony. W drodze uległ rdzeń ten zepsuciu, tak, że królik zdechł z objawami gnilicy nie zaś wścieklizny. Najpożądańszem byłoby po śmierci zwierzęcia, samodzielnie nastąpionej, możliwie prędko przesyłać całą głowę z częścią szyi, oraz zbadać zawartość żołądka.

Prócz tych, mam jeszcze 5 robotników z fabryki stali, pokasanych przez psa, który zerwał się z łańcucha, ugryzł służącą, niosącą mu jedzenie i 4 małych chłopców. Uprzednio pogryzł łyżkę drewnianą. Dotąd nie został odnaleziony, do domu nie powrócił. W tym więc razie wściekliznę można przyjąć prawie z pewnością. Jeden z pokąsanych posiada ciężkie obrażenia na uchu i rękach.

Wszyscy szczepieni dotąd mają się dobrze i pomyślnie znoszą inokulacye bez objawów zapalnych miejscowych. Leczą się ambulatoryjnie, przychodząc codziennie o godzinie 5 popołudniu.

Z niemieckich wybitnych badaczów Virchow, pytany przeze mnie o zdanie co do szczepień wścieklizny—odpowiedział w sposób ostrożny, ale przychylny. Widzi on w dotychczasowych wynikach nieco przesady, uważa, że ilość chorych jest nieco za dużą; (zwracam uwagę, że wszyscy z małymi wyjątkami zaopatrzeni są w świadectwa wścieklizny psa), przypuszcza jednak, że na tej drodze można było odkryć ochronę od wścieklizny, jak ją odkrył Pasteur dla karbunkułu i innych chorób.

Inaczej nieco, jakkolwiek ostrożniej niż przed kilkoma miesiącami, zapatrują się na rzecz inni niemieccy badacze, pomiędzy którymi Pasteur ma licznych przeciwników. Prof. Koch uważa wyniki za mocno przesadzone i samą metodę za wątpliwą. Dziwną jest jednak rzeczą, że niemiecka prasa powiększa liczbę zmarłych na wściekliznę. Wiemy np., że ze Smoleńska przybyło pokąsanych przez wilka 19 i zmarło 3 (zwykle umiera co najmniej 80%); Niemcy twierdzą, że ich umarło 8.

Dr O. Bujwid.

ANALFABECI.

Probierzem, uwidoczniającym rozszerzenie oświaty z nielicznych kół inteligencyi na całe masy narodu, jest elementarna znajomość, a raczej sztuka czytania i pisania. Gdzie jej brak, zaczyna się klasa ludności zwana analfabetami, nieumiejąca ani czytać, ani pisać, w odróżnieniu do semialfabetów, umiejących czytać tylko, i tych sylabizujących, którzy tego, co przeczytają, nie rozumieją.

W ustosunkowaniu analfabetów posiadamy ważny czynnik do poznania stanu wiedzy i rozwoju lub zastoju narodowych „nizin.“ Źródłem naszych wiadomości są bezpośrednie statystyczne obliczenia, od niedawna podejmowane we wszystkich państwach Europy, potem kontrakty ślubne, a wreszcie coroczne egzaminy rekrutów, między innymi także z pisania i czytania *).

Pod względem wieku wykazuje większą ilość analfabetów ludność przekraczająca rok 20, niż młodzież od 6—20 roku, znajdująca się właśnie w okresie nauki. Jeżeli procent ich okazuje się mniejszy u rekrutów, okoliczność tę przypisaćby można w części późniejszym owocom, jakie wydaje szkoła, lecz główna przyczyna leży w tem, że w wojsku najmniej jest owych fizycznie i moralnie upośledzonych żywiołów, które budują sobie gniazdo analfabetyzmu wśród niedoli i ciemnoty ludu. Dlatego także widzimy mniej analfabetów między nowożeńcami, znajdującymi się zazwyczaj w lepszem położeniu; w najniższych bowiem warstwach zastępuje śluby małżeńskie — życie na wiarę. O ile oświata jest produktem szkół ludowych, jaki wpływ one wywierają na zmniejszenie analfabetów w ciągu nauki szkolnej i po jej ukończeniu, czy ogólne przekształcenie jest czynnikiem czysto ludowym, czyli też rezultatem zewnętrznych wpływów — na te pytania mogłaby odpowiedzieć tylko dokładna statystyka szkolnictwa. Nie dosyć bowiem znać procent uczęszczających do szkół i z tego wnosić o stanie oświaty, jak to się dzieje dotychczas, trzebaby przedewszystkiem zbadać skutki tej nauki (a zatem uwzględnić stopnie uczniów), potem ocenić, jaki procent analfabetów zapisać wypada na karb nieuczęszczania do szkoły, a jaki policzyć na rachunek niedostatecznego kształcenia lub zapomnienia. Najmniejsza ich ilość przypada, obok Niemiec na Finlandyę i Stany Zjednoczone Ameryki. W r. 1880 miało być w Finlandyi męskich analfabetów 2.13%, żeńskich 1.68% (dane te, czerpane z obliczeń włoskich, wydają mi się podejrzanemi). W Stanach Zjednoczonych było 11% między ludnością białą (ale 66% między murzynami), przyczem różnice wieku tak wybitne w innych krajach prawie zupełnie się tu zacierają. Ale np. we Francyi, która uchodzi za pionierkę oświaty mamy przeszło 37% analfabetów, a mianowicie 35% mężczyzn, i 40% kobiet. W rzeczywistości wiemy, że oświata ludu datuje się we Francyi dopiero od niedawna. Zwiększanie się zbitej masy analfabetyzmu po 20 roku jest wynikiem nietylko zewnętrznych czynników — jak np. administracyi, ale bardziej jeszcze wewnętrznych stosunków. Analfabeci zależni

---

*) *Statistica dell' istruzione elementare*, Rzym 1885, daje bogaty materyał porównawczy. Patrz także: dr Mischler: *Analphabete* w *Statistische Monatschrift*. Wiedeń, maj i czerwiec.

są od stanu szkolnictwa, stojącego dawniej na niskim stopniu rozwoju, z postępem więc szkolnictwa musiały przerzedzić się ich szeregi wśród młodego pokolenia. Drugą przyczyną jest brak ćwiczenia w pisaniu i czytaniu u starszych, co łatwo wytłomaczyć położeniem ludzi z najniższych warstw. Do przypadkowych przyczyn, zmieniających procent analfabetów, ze zmianą wieku, należą wędrówki i emigracye, które wychodząc z krajów wyżej w inteligencyi stojących do mniej oświeconych — np. z Niemiec do Ameryki, zwiększają szeregi nieuków, przeciwnie zaś z krajów ciemnych do oświeconych podnoszą ich liczbę. Wogólności, naród stojący na wyższym szczeblu oświaty bywa ruchliwszym i dlatego wędrówki uważane są za czynnik dodatni w alfabetyzmie, lecz czasowe emigracye — np. naszych chłopów — wywierają wpływ niekorzystny i pod tym względem.

Drugiem prawem w rozwoju analfabetyzmu jest jego przewaga po stronie kobiet, i co za tem idzie, rychlejsze zanikanie śród nich skutków nauki. Ważny wyjątek stanowi tu Ameryka, której ludność biała może poszczycić się lepszem i więcej rozszerzonem wykształceniem dziewcząt i kobiet, co tłomaczy zupełnie wyjątkowe ich stanowisko.

Śledząc dzieje oświaty w kilku dziesiątkach lat ostatnich, widzimy olbrzymi postęp na Zachodzie. W Anglii, Francyi, Belgii zmniejsza się ilość analfabetów ostatniej generacyi *o połowę*, a różnica płci i wieku sprowadza się do coraz mniejszych rozmiarów. Jeżeli postęp ten potrwa dalej, to nie minie wiek, a Zachód przewyższy i pod tym względem Niemcy. Najciemniejszy obraz przedstawia Wschód, zwłaszcza Rosya, Rumunia, Serbia, Galicya, wogóle *kraje słowiańskie*, które pod tym względem *stoją niżej od murzynów w Stanach Zjednoczonych*, lecz i tutaj można zauważyć w ostatnich latach pewne posuwanie się. Środek zajmują Austrya i Włochy, gdzie oświata stoi na tym stopniu, na którym znajdowała się we Francyi jeszcze za przeszłej generacyi. W sprawie ukształcenia ludu, pozostaje na wschodzie *wszystko*, na zachodzie *mało* a w krajach niemieckich *prawie nic* do zrobienia. Z przyjemnością należy tu podnieść starania wielu rządów europejskich. „W rozszerzeniu oświaty — powiada urzędowy organ austryacki — widzimy czynnik, zmniejszający różnice plemienne, chociaż jeszcze nie tak silny, żeby stłumił zupełnie właściwości rasowe.“ Jak wspomniałem, słowianom przypada ostatnie miejsce. Serbia ma 79.31% (1882), Rosya 79.04 (1878), chorwaci i słoweńcy liczą 62.75% (1882) analfabetów. Smutne te stosunki oddziaływają nawet na sąsiadów niekorzystnie. Rumunia np., oddzielona od pnia romańskiego, zawdzięcza głównie zastój na tem polu niekorzystnemu położeniu pośród słowian. W 1882 r. wydała ona 77.69% analfabetów. Południowe kraje słowiańskie, jak Karyntya, Kraina, Grodziska, wykazują znaczny postęp w porównaniu z sąsiadami, dźwigającymi jarzmo tureckie lub madyarskie. Wyjątkowe pod tym względem między słowianami stanowisko zajmują czesi, którzy pod wpływem kultury niemieckiej i dobrobytu, a jeszcze bardziej skutkiem wysokiego polotu patryotycznego, liczą równą ilość analfabetów z anglikami i amerykanami. Najwyżej stoją niemcy, szwajcarowie, i finlandczycy, oraz szwedzi. W Wirtemberskiem np. ilość analfabetów wynosi tylko 0,02%, w Badeńskiem 0 09%, kiedy u serbów 93.27%, u chorwatów i słoweńców 78.21%, w Galicyi 74.24%, na Szląsku 19.87%, w Czechach 6.74%. Wśród rekrutów notujemy następujący stosunek, znamionujący stan oświaty armii w państwach europejskich. Najniżej stoją Serbia i Rosya, mające pierwsza 79.31% (1881?r.) druga 78.79% (1882 r.) analfabetów. Za nimi idą Węgry 50.80% (1881), Włochy 47.96% (1883), Austrya 38.90% (1881). Znaczną różnicę wykazują już Belgia 15.38% (1883). Francya 12.29% (1884) i Holandya 9.8 (1883). Najkorzystniej pod względem oświaty przedstawia się armia w Szwajcaryi 2.10% (1884), w Prusiech 1.97% (1884), w Alzacyi i Lotaryngii 0.72% (1884), w Szwecyi 0.27% (1883), w Bawaryi 0.08% (1884). Przewodniczy i tutaj Badeńskie i Wirtemberskie 0.02% (1884).

Wyjmujemy jeszcze ze statystyki austryackiej szczegółowy stan analfabetów w krajach słowiańskich *).

Najkorzystniej przedstawiają się Czesi, liczący w bezwzględnych cyfrach 4 miliony *alfabetów* a umiejących czytać tylko, czyli semialfabetów męskich 75,116, żeńskich 176.655, analfabetów zaś męskich tylko 151,905, żeńskich 248,487; najgorzej Galicya, licząca 417,658 alfabetów męskich, 257.920 żeńskich, semialfabetów 204,692 męskich i 243,359 żeńskich, analfabetów zaś zupełnych aż 1,792,559 męskich i 1,994,739 żeńskich!

Na tym niskim poziomie stoi tylko Bukowina i Dalmacya, obniżające ogólny stopień wykształcenia w Austryi do tego stopnia, że przeciętnie niemal połowa ludności nie umie tu czytać, ani pisać. Między semialfabetami słowiańskimi znajdują się przeważnie starsi chłopi, którzy do szkół uczęszczali, ale z braku ćwiczenia zapomnieli pisać zupełnie, a czytać potrafią tylko na swojej książce do nabożeństwa i co najwięcej na kalendarzu. Że analfabetów najwięcej wypada między płcią żeńską, tłomaczy się tem, że rodziny wiejskie częściej posyłają do szkoły chłopców, dla których, według nich, nauka jest potrzebniejszą, aniżeli dla dziewcząt; te zaś, jako niezbędne w gospodarstwie, wcale nie uczęszczają do szkoły, albo muszą ją coprędzej opuszczać. Wyjątek z tego ogólnego prawa analfabetycznego stanowią kobiety starsze, sięgające u nas późniejszego wieku niż mężczyzni i przypominające sobie na starość, jakby przez sen, znajomość drukowanych liter.

W krajach niemieckich państwa austryackiego jest stan oświaty stosunkowo daleko wyższy. Właściwa Austrya, Salzburg, Tyrol, Voralberg mają tylko 25%, czyli $^1/_4$ część ludności analfabetów, dorównywają więc czechom, morawianom i szlązakom. Mimo to zauważyliśmy w dolnej Austryi, zostającej pod przeważnym wpływem Wiednia, większą cyfrę analfabetów, niż w Czechach. Dotyczy to przeważnie miejscowości, cierpiącej skutkiem przemysłowego przeludnienia, głównie zaś robotników, niemogących opłacić lepszych sił nauczycielskich, tam właśnie, gdzie inteligencya spożywa owoce najwyższej nauki...

Jakże to blisko obok siebie mieszkają oświata i ciemnota! Smutny ten objaw powtarza się we wszystkich większych miastach, które złem zaopatrzeniem ludności roboczej i w pokarm umysłowy, ilustrują społeczne stosunki. Upadek prowincyi odbija się i w stolicach, ale kiedy np. Praga wykazuje około 10% analfabetów, t. j. mniej więcej dwa razy tyle, co okalający ją powiat polityczny, nie ma prawie żadnej różnicy między Lwowem a powiatem lwowskim co do analfabetów. Tam jednak, gdzie te różnice zachodzą, jest oświata ściśle tym okręgiem odgraniczona i nie rozciąga się na prowincyę, jak w Austryi niższej. Opuszczając grunt niemiecki i przechodząc do mieszanej ludności na południu, znajdujemy wzrost procentu analfabetów coraz silniejszy, aż do najwyższej cyfry w krajach słowiańsko-rumuńskich na wschodzie. Przypatrzmy się bliżej alfabetyzmowi galicyjskiemu. Lwów i Kraków trzymają się jako tako; Lwów ma 39.33% męskich, 47.01 żeńskich analfabetów, Kraków 30.62% męskich, 39.46% żeńskich. Zpowiatów na prowincyi posiada tylko jedno starostwo (Biała na granicy pruskiej) 45%, rzadkie są powiaty z 50—70% analfabetami. Natomiast mamy 20 starostw z 70—80%, 32 starostw z 80 — 90% a 34 liczących przeszło 90% analfabetów! Te ostatnie, leżące bez wyjątku na prawym brzegu Sanu, na granicy Rosyi, Węgier i Bukowiny, są odwieczną siedzibą rusinów. Tylko wyjątkowo w starostwie Kolbuszowskiem, zamieszkałem przez polaków, przewyższa procent analfabetów cyfrę 90. Reszta powiatów polskich wykazuje znaczniemniejszy procent niż ruskie.

B.

*) *Die Ergebnisse der Volkszählung in analitisches Bearbeitung* w *Osterreichische Statistik*, herausgegeben von der k. k. Statistischen Central-Comission, 1884, V 3 zeszyt, tudzież obliczenie Schimera. *Statistische Monatschrift*, VIII, 418.

LITERATURA I SZTUKA.

Plon konkursowy.

I.

(Dokończenie.)

Sprzeczności w rozsnuwaniu wątka i w charakterystyce osób płyną z ciągłej chęci autora utrzymania się na patetycznych szczudłach i zczepiania dosadnych wyrazów. Dlatego każe Łokietkowi dumać nad zwłokami „znakomitego męża“ Alberta, a za chwilę nazywać go „szałwiłą.“ Bo dla p. K. każde słowo jest dobre, które mocno brzmi, chociażby ono, zastosowane do jakiejś postaci, przeczyło rysom poprzednio nakreślonym.

Ten prawie mechaniczny dobór silnych dźwięków przyczynił się zapewne najbardziej do stworzenia złudnych pozorów i obałamucił roznosicieli sławy autora. Tymczasem „Shakespeare — Kochanowski — Słowacki“ pisze językiem tak niepoprawnym, tak w barwy poetyczne ubogim, że zamiast podziwu, przydałaby mu się staranna korekta. Przytoczymy kilka prób. Janko klnie się: „Bogdaj mię pioruny i *więcej jeszcze*.“ Do Ratibora, z którym ma walczyć i z którego ręki ginie, woła: „Ustąp, *wściekły capie*, z drogi, powiadam, bo weźmiesz *po łapie*.“ Kadencya jest — jak twierdzono dawniej — ale sentencyi mało. Łokietek posiada „żmiję mądrości,“ Albert zaś mówi do niego: „głos twój *grzmi i skrzeczy*.“ Muskata do Małgosi: „A świat bez ciebie cały straszna *matnia*“ (jeden z ulubionych wyrazów autora), Bernard zaś odzywa się o zakochanym przyjacielu: „Na jego ustach staszliwa przysięga (?), co wieczność (?) kryje i górnych gwiazd sięga“ (?) — co nadmiarem sensu nie grzeszy. Floryan grozi zdrajcom: „Człowiecza wszelka z nich opadnie szata— a ja zawołam: *istny koniec świata*.“ Dlaczego ma być wtedy „koniec świata?“

Tak zwana fabuła jest — według nas — rzeczą podrzędną, a w każdym razie do wykonania łatwiejszą. Nieumiejętne kreślenie charakterów pierwszemu występowi przebaczyć można, ale co nie jest własnością nabytą, a co stanowi rdzeń talentu poetyckiego — to sztuka formy, bogactwo uczuć i środków artystycznych. Otóż natura wyposażyła p. K. pod tym względem zaledwie w średniej mierze. Właśnie tej siły, którą w takiej potędze widzimy u Shakespeare'a, a w takim uroku u Słowackiego, naszemu autorowi brak. Prawie wszystkie jego wyrażenia, o ile nie są pospolite, są przedęte, prawie wszystkie po-

równania ułomne, a żadne artystycznie nie rozprowadzone. Elżbieta np. mówi do Małgosi: „Chłopcy, *jak szpaki*, przylecą do ciebie.“ Czemu — „jak szpaki..?“ „Życie bez miłości jest *jak pochodnia*, co dymi, nie płonie, przy konającym.“ Przy konającym nie pali się żadna „pochodnia,“ a jeśli pali się — to i płonie. „Bo moje życie — skarży się taż sama niewiasta — jest z czarnego wątka *i kąkąl wschodzi na moim zagonie.*“ Zestawienie nieszczęśliwe. Łokietek rozkazuje: „Niechaj (powieszeni) *świecą* z góry ku miastu każdy, *jak pochodnia.*“ Hans: „Nienasycone porywy i żądze w piersi kołaczą, *jak jaskółki lotne.*“ Akurat jaskółki nigdy nie kołaczą, bo nigdy nie są trzymane w klatkach. Albert sławi cesarza:

Kiedy brwi ściągnie u gniewnego czoła,
Książęta postrach śmiertelny przenika,
Jak gdyby grzmiała trąba archanioła.

Groza zmarszczonych brwi, porównana z grzmotem trąby, dziwiłaby nas w wyobraźni wschodniej, gdyż przechodzi nawet „nos, jako wieża patrząca ku Damaszkowi.“ Logiczne rozwiązanie porównań i przenośni, tak prześlicznie dokonywane np. przez Mickiewicza, autorowi *Alberta* jest całkiem nieznane. Jeden z jego bohaterów maluje oblegające Kraków wojsko Łokietkowe. Polak „*myszkuje* tuż przy samym wale, *wyszczerza zęby, błyska oczyma i waruje*, jak pies na łańcuchu.“ W całym dramacie nie ma *ani jednego* porównania, *ani jednej* przenośni dobrej, *ani jednego* wiersza, który warto byłoby zapamiętać.

Nie znamy ani dramatu, ani wogóle poematu z uznaną wartością, którego środki artystyczne byłyby szczuplejsze, niż w *Albercie*. P. Kozł. gra ciągle na kilku wyrazach, którymi maluje najrozmaitsze uczucia. Pies, kości i szpik, czart, skaza, duchy i kilka jeszcze — oto cała jego paleta. W powyższych przytoczeniach już czytelnik spotykał te kolory ubogiej tęczy — dla poparcia naszej uwagi dodamy szereg prób nowych. Pierwsze miejsce zajmuje *pies.* Muskata: „Przepadnij psi synu — tfy na psa urok.“ Suderman: „Skomlą by szczeniaki, jak psy się liżą.“ Albert: „Rzucasz nam pogardę, jak psom kości — ty psy zażarte spuściłeś ze smyczy.“ Ratibor: „Ten pies zasłużył.“ Muchow: „A kości twoich nie zechce sobaka.“ Janko: „Zdechł pies — ty pieski synu“—itd. *Kości*, prócz połączonych z psami, również występują często samodzielnie i ze szpikiem. Albert: „Niechaj moje kości skręci paraliż; — chociaż po kościach strachu idzie mrowie.“ Suderman: „Szpik zimnego strachu marznął w kości.“ Ratibor: „Ażeby zdrajców przeszło mrowie do szpiku kości.“ Janko: „Zimny strach idzie po kościach“— itd. I *czart* zjawia się nierzadko. Albert zwłaszcza zna „szatanów wycie — siłę czarta,“ chce „wejść w układ z samym lucyferem.“ Podobnież Janko mówi o „sidłach czarta,“ Małgosia i inni. *Skazę* autor widzi wszędzie: „na duszy“ i „murach“ (Albert), na „twarzy“ (Suderman), a czasem ona nawet „lśni się“ (Alb.).

Przerywamy cytaty, gdyż w tej liczbie wystarczą one do okazania artystycznej zasobności autora. Z tej strony, która *nota bene* była najbardziej chwaloną, jest on najsłabszy. Że technik — według zapewnienia tych, którzy go „interviewowali,“ nieznający literatury, mógł nie wiedzieć, jakimi skarbami myśli, uczuć i języka rozporządzają pisarze znakomici — to nic dziwnego, ale że o tem nie wiedzieli ludzie, roszczący sobie prawo do krytyki, to jest bezprzykładnem. Są pisarze genialni, którzy we wszystkich swych dziełach nigdy nie powtórzyli ani jednego porównania, a wielu naliczyć można takich, którzy nie powtórzyli ich w tym samym utworze. Rozległa skala barw poetyckich tworzy tę uroczą rozmaitość, którą w nich podziwiamy. Wprowadzanie zaś p. Kozłowskiego w najdalsze pokrewieństwo z Shakespearem i Słowackim jest dziecinnem bluźnierstwem przeciwko całej twórczości ludzkiej i przeciwko własnej literaturze. Bluźnierstwa takiego dopuścić się mogą tylko ci, którzy nigdy nie czytali arcydzieł, lub którzy ich nie rozumieją.

Nie myślimy wszakże utrzymywać, że *Albert* jest utworem, zupełnie pozbawionym zalet. Znajdujemy w nim bowiem mało pospolitości, a dużo młodzieńczego zapału. O ile z tej jednej pracy wnosić wolno, autor grubo się łudzi co do swoich „przeznaczeń,“ mniemając, że „twórcza pieśni władza“ dana mu dla malowania „kataklizmów dziejowych, walk olbrzymów i nieśmiertelnych starć dla idei,“ ale przyznać mu trzeba zdolność dramatyzowania wątków historycznych. Niektóre sceny — np. sąd na upiory — nakreślone ładnie i wyraziście, a chociaż stopniowanie akcyi prawie zawsze bywa wadliwe, jej ton nużąco jednostajnym, chociaż postacie sklejone ze sprzecznych i jaskrawych rysów, są wyrobami imaginacyi swawolnej, wszystko to trzyma się, zajmuje i niedoświadczone oczy olśniewa młodzieńczym rozpędem pióra, nieposuwanego w liniach szablonowych. Znać umysł świeży i gorący. A jak nieraz podoba nam się namiętna mowa studenta, mimo że nie zawiera ani głębokich prawd, ani świetnych zwrotów i działa jedynie swym rytmem, swem tętnem — tak samo podoba się *Albert.* Jak zaś ciotki i znajome owego studenta zostają przezeń odurzone, tak odurzeni zostali sprawozdawcy, którzy napletli niestworzonych dziwów.

Gdyby utwór p. Kozł. nie był wprowadzony do literatury tryumfalną bramą konkursową i gdyby wszedł zwykłemi drzwiami, ledwie krytycy, regestrujący wszystkie objawy piśmiennictwa, zwróciliby na niego uwagę, a nikt by zmysłów nie tracił. Przeciwnie, możeby wytknięto autorowi szyderczo kombinacye z kilku wyrazów staropolskich (owa, luty, szablicha i in.), mające udawać język epoki Łokietka, możeby mu obszernie wytłomaczono, że wówczas nikt nie „liczył na Zawiszę“ i że to z przysłowści poczerpnięte wyrażenie nie nazywa się — jak on je w dopisku chrzci — „anachronizmem“ itd. Słowem, więcejby znaleziono materyału do przycinków, niż pochwał. *Albert* uwieńczony na konkursie stał się wielkim wypadkiem, „dowodem żywotności,“ którego nam było „trzeba,“ najznakomitszym dramatem historycznym.

Od lat wielu uczestnicząc w literaturze polskiej i prasie warszawskiej, byliśmy świadkami wielu kuglarstw i fars, wyprawionych kosztem dobrej wiary ogółu; ale takiej farsy nie widzieliśmy nigdy. Nadstukowywano reklamą liliputów, ale w mierze ludzkiego wzrostu — padano w proch przed Sienkiewiczem, ale to jest pisarz dużej siły; to wszakże, co wyprawiono z p. Kozłowskim, przeszło najdalsze granice fiksacyi i swawoli. Obiecującego debiutanta zamianowano znakomitym artystą i postawiono obok geniuszów, utwór niedojrzały, niebogaty, nielepszy od dziesiątka innych własnej literatury podniesiono do wysokości arcydzieła. Umarli z grobu nie wstaną i przeciw tym lekkomyślnym wyrokom nie zaprotestują, ale co uczują żywi?.. Obojętność lub odrazę do takich trybunałów. Po co nam był Słowacki, jeśli go w naszych oczach przewyższa p. Kozłowski, co warta cała nasza zbiorowa praca, jeśli dopiero laureat konkursu dramatycznego przekonał świat, że „żyjemy?“ Po tym sądzie raczej należałoby o tem zwątpić, niż uwierzyć. Literatura, w której można wyprawiać takie jasełka ku uciesze szerokich kół, zdrową nie jest. I jeżeli kilkaset wierszy poświęciliśmy rozbiorowi utworu, który na krótkie tylko sprawozdanie zasługiwał, zrobiliśmy ustępstwo chorobie krytycznej, z którą trzeba walczyć rachunkami szczegółowymi.

Rozpatrzmy dalszą zawartość plonu konkursowego.

REWOLUCYA LITERATURY.

Co ja słyszę?.. więc tylko
partacze mają bez przeszkody zdobywać powodzenie?..
Byron.

Siedmdziesiąt lat upływa od chwili, kiedy Hegel w przemowie wstępnej do odczytów historyi filozofii wyraził ubolewanie nad upadkiem ducha filozoficznego w Niemczech, spowodowanym klęskami wojny. W pracy autora współczesnego, K. Bleibtreu *) słyszymy ponawiający się po tylu latach, już nie głos ubolewania, ale szyderczy krzyk zgrozy na oschłość i martwotę w całej literaturze narodu. Ale jakaż to olbrzymia, upokarzająca różnica w stosunkach i położeniu! Tam posucha filozoficzna, wynikająca z powszechnego zajęcia się sprawą publiczną najwyższej doniosłości— zerwaniem jarzma francuskiego; tu gorsza od posuchy obojętność, lub sprzeniewierzenie się ideałom prawdy piękna i dobra — tam pierwsze odetchnięcie po teroryzmie zwycięzcy — tu nienasycona żądza wyzyskania zwycięstwa, coraz dalej i dalej.

Ale zachodzi tu rys jeszcze charakterystyczniejszy, przypominający stosunek rzymian do greków. Ten wysoko utalentowany pisarz niemiecki nazywa zwycięskich ziomków narodem biernym, „rasą bez inicyatywy“ i wypowiada otwarcie, że właściwie od czasów poezyi staro-górno-niemieckiej byli oni jedynie „duchowemi dziećmi, zrodzonemi z małżeństwa zagranicznego.“ Nawet dziś jeszcze pokazuje on nam potężny wpływ literatury angielskiej, a za najwyższego mistrza, więcej niż poetę, za pogodę wszechświatową ogłasza... Zolę. Z ustępów, które tu w ciągu przytoczymy, czytelnik przekona się naocznie, na kogo to autor głównie składa cały ciężar odpowiedzialności przed potomnymi za nastąpienie na piersi tak potężnej umysłowości niemieckiej,

Po dość obszernej, a zjadliwej odprawie, danej krytykom i recenzentom, autor kreśli rozwój historyczny piśmiennictwa niemieckiego, przechodząc kolejno najcelniejsze rodzaje literatury pięknej: powieść historyczną, epikę, dramat i poezyę liryczną. W końcu zeszłego i pierwszych dziesięcioleciach obecnego wieku na bardzo niewielu postaciach zatrzymuje się z uznaniem. Nawet co do Goethego głośniej odzywa się o nim, jako o ekscelencyi, aniżeli jako o mistrzu, tylko imię Fausta i Werthera wymawia z pochyleniem czoła. Napoleonowi nie szczędzi zasłużonej sprawiedliwości, przyczem przez odbitkę dostaje się nieraz i współczesnemu społeczeństwu literackiemu w Niemczech. „Komiczny wstręt Napoleona — mówi — ku wszelkiej ideologii znanym jest powszechnie. Wówczas Niemcy, „ideologiczny“ kraj Kanta, Schillera, Herdera i t. d., jeszcze miały zaszczyt wzbudzać szczególniejszą jego niechęć. Ale gdyby dziś przebiegał na nowo swój teatr wojny, może zawołałby z całem zadowoleniem. Oto duch mojego ducha. *Tempora mutantur.*“

Nadzwyczaj ważny ustęp poświęca realizmowi w literaturze, o czem nieco powiemy dalej.

Najciekawszym wszakże dla nas jest wprawdzie niemiecki, ale szlachetny, najmniej pruski ustęp p. t.: „Poeta niemiecki

*) *Revolution der Literatur* von Karl Bleibtreu. Lipsk, 1886.

i jego publiczność." Ponieważ umysł, zachowujący przynajmniej literacką niezależność wśród bałwochwalczego płaszczenia się przed siłą, jest tam zjawiskiem wysoce wyjątkowem, przeto zamiast streszczać lub omawiać pogląd, wolimy oddać głos samemu autorowi. „W najnowszych czasach — mówi on — wiele mówiono o obojętności państwa względem literatury. Że książe Bismark wyżej ceni pierwszą lepszą broszurę o cle zbożowem, aniżeli najznakomitszy utwór poezyi, o tem bynajmniej wątpić nie można. Już to my nie będziemy wymagali od *„rozjemcy Europy*, ażeby znalazł sobie wolną chwilkę dla zaszczycenia szczególniejszem zainteresowaniem się literatury. Za to umysłowi wyższemu, swobodniej pojmującemu rzeczy, umysłowi, który rozwój ducha ludzkiego uważa za jedynie istotowy i trwały fakt wśród przelotnej, mgławej gry zdarzeń zewnętrznych, oryginalny fakt poetycki niezawodnie wyda się ważniejszym, aniżeli wszystkie wypadki realne. Uznajmy już, w całej jego mocy, ten fakt, że w oczach pruskiego mandarynizmu cała poezya jest to coś również zbytecznego, jak plebejuszowskiego. Dla prawdziwego poety, przejętego godnością i wielkością swego powołania, sympatya lub antypatya władzy państwowej również będzie rzeczą zupełnie obojętną."

„Wszelka protekcya „wyższej sfery" oddziaływa zgubnie na literaturę. Wypowiedział to już Buckle, zastanawiając się nad epoką Ludwika XIV." Zgubny wpływ mecenatyzmu i najjaśniejszych protekcyj na literaturę wykazuje nasz autor historycznie na Hiszpanii Filipa II, na poetach angielskich: Ben Jonsonie, Drydenie, Congreve'ie, Pope'm, którzy rozpoczęli proces rozkładu i butwienia poglądu poetyckiego, aż nakoniec przyszedł Burns i Byron, którzy staczając walkę z konwencyonalnem kłamstwem, przebudzili poezyę i wyzwolili z dworsko-arystokratycznej zgrzybiałości i cherlactwa. Wybornie uwydatnił Fr. Hirsch pośrednie zasługi, które położył Fryderyk Wielki na tem polu „przez swoje Najmiłościwsze lekceważenie poezyi niemieckiej." Bo i co było po poezyi wielkiemu „fleciście i żarłokowi z Sanssouci (Gourmand und Flötenbläser), skoro sam był jedynym na swoje czasy poetą. Wszak sam Blücher powiedział, że każdy musi spiewać, czy to dzióbem, czy szablą?*).

„Wszak również poetą był i drugi Cezar wieków nowożytnych, tak zwany „brutalny korsykanin." Nienapróżno marzycielską młodość swoją przeżył w rozkoszowaniu się Ossyanem i Wertherem. Później, już jako Zeus piorunujący, nad brzegami Moskwy układał statuty teatrów francuskich, a przed bitwą pod Austerlitz połowę nocy spędził na estetycznych sporach o istocie tragedyi losowej. Kiedy nakoniec odebrano mu miecz, pochwycił pióro i na wyspie św. Heleny stał się własnym Homerem.

I ten żelazny człowiek przez cały czas świecenia jego gwiazdy wciąż dzwonił nad uszami swego ministra oświecenia, że chciałby raz nakoniec widzieć poezye, któreby mu się mogły podobać. Nie! pierwszy *rozjemca Europy* — poezye nie stawiły się na komendę. Poczuwali ich ducha całą świadomością serca i sumienia: Staël, Chateaubriand, Lamartine. Ale tam, dokąd dosięgała jego protekcya, słychać było tylko „grzmiący spiż, dźwięczny dzwonek" i mdłą pompę frazesów; nie było tam miłości, tj. swobodnego, bezpośredniego wylewu twórczości. Literatura nie daje się tak zdobyć, jak się zdobywa tron. Zbudować państwo lub zburzyć je może każdy mocarz, posiadający władzę— jeżeli ma szczęście i jeżeli tego chce wyższy porządek świata — inaczej, nigdy. Ale bitwy twórczości poetyckiej wygrywają tylko duchy, które Lamartine poniekąd słusznie nazywa „więcej niż ludźmi." Albowiem oni są naczyniami łaski bożej, ducha świętego i unoszącej się ponad rzeczami siły centralnej. A jednak i ten Zeus piorunujący, wskazując najpierwszemu ze swoich dyplomatów i generałów (Talleyrandowi i Soultowi) największego poetę narodu niemieckiego, rzekł: „Oto mąż." Aleksander, jak wszyscy jego greccy poprzednicy, miał zawsze przy sobie Homera. Cezar i Scypio byli autorami. Nawet starego Hannibala posądzałbym, że w godzinach bezczynności autorował po punicku, a Eschylosa czytał w pierwotnym oryginale. Karol Wielki, Teodoryk, Otto Wielki wśród pełnego czynów żywota swego, ze szczególną gorliwością pracowali nad estetycznem wykształceniem się. Bo też były to natury bohaterskie.

Tak! w każdym prawdziwym poecie tkwi bohater, w każdym bohaterze tkwi poeta. Bohater niepoetyzujący nie jest bohaterem. Może on być lisem, ale nigdy lwem.

Otóż, kiedy współcześni czciciele Burnsa zwracali się do angielskiego Bismarka, Pitta, z prośbą, ażeby udzielił mu zasiłek państwowy, ten despota z wysokości samowładztwa odrzekł pamiętnemi słowy: „literatura powinna sama myśleć o sobie." „Tak —mówi Carlyle— pomyśli ona o sobie, a przytem jeszcze i o was, jeżeli nie będziecie się mieli na baczności."

„Wiadomo, że rewolucyę francuską zrobili malkontenci literaci. Do tego rodzaju należy Marat, Robespierre, Desmoulins, całe otoczenie Dantona, Mirabeau itd. Właściwymi ich ojcami byli Voltaire i Rousseau. Powody i zasady do przewrotów znajdują się zawsze i wszędzie: beczkę z prochem zapala iskra. Napróżno machina państwowa, parta instynktowo śmiertelną nienawiścią, stara się zgnębić „ideologię." Bo ta jest nieśmiertelną, jak świat. Napróżno podszeptywać będą wyższym dążnościom duchowym, ażeby skrępowały się uniformem życia praktycznego. Nie powiodą się żadne tego rodzaju wysilenia i naciski — nigdy, dopóki będą, jak bywali, na ziemi autorowie i poeci, którzy ojczyznę sławą swoją napełnili, w nędzy pomarli, otrzymując potem od wdzięcznego narodu niemieckiego posągi wiecznej pamięci.

A więc, precz z mecenatyzmem wyższych sfer. „Zapomogi państwowej lub jakiegokolwiek innego zainteresowania się literaturą nie żebrzemy u Bismarka i *jego* Prus. Nie potrzebuje ich literatura, bo to nie rzemiosło, któregoby wyuczyć się można było. Ukazanie się poety zależy od źródeł tak głęboko ukrytych, że żadne państwo, żaden kanclerz być mu pomocnym nie może. Literaturze dopomódz może Bóg, ale nie kanclerz państwa. Kanclerz wciąż żali się na niewdzięczność narodu niemieckiego. O! bodajby Michel choć w tysiącznej części był tak wdzięcznym względem męczenników i bohaterów myśli, jak on jest aż do zbytku wdzięcznym względem każdej realnie materyalnej, a państwowo upatentowanej zasługi.

Kanclerz uczonych i autorów nazywa „nieprodukcyjnymi" pod względem ekonomiczno-politycznym. A może też właśnie owa idealnie produkcyjna działalność poetów niemieckich umożebniła dlań przyczepienie jego nazwiska do przygotowanego od tak dawna zjednoczenia Niemiec.

Ale miejmy otuchę, nadchodzą inne czasy, inni ludzie. Już widzę zbliżającą się ową wzniosłą dobę, kiedy na dworze królewskim Schiller wchodzi *przed* panem porucznikiem:

Das Alte stürzt, es ändert sich die Zeit,
Und neues Leben blüht aus den Ruinen.

(Stare wali się, zmienia się czas, a nowe życie wykwita ze zwalisk)."

Ale ta otucha, to przeczucie słonecznych dni dla muzy niemieckiej w naszym autorze budzi się dopiero wówczas, kiedy odwraca oczy od obecnych stosunków niemieckich, gdzie rozpiera się samowładczo brutalna siła, frazes, kłamstwo i gminna samolubność pod wystawną maską „idealności," gdzie oryginalność jest przedmiotem nienawiści, a prawdziwy talent cierniem w oku konwencyonalnej nieudolności. Taki smutny, a zasłużony ze wszechmiar, stan literatury niemieckiej autor maluje jaskrawymi rysami w ostatnim ustępie p. t.: „Poeta uważany sam w sobie." Tu dopiero z pióra jego pada całe światło wgłąb tej ponurej próżni, którą wydrążyły w sumieniu, sercu i umyśle większości narodu niemieckiego ostatnie zwroty polityczne — zwroty, dające w ostatecznej formule: upaństwowienie ducha — osierocenie prawdziwego geniuszu. Od czasów Schopenhauera nikt podobno nie okazał tyle odwagi cywilnej w wypowiedzeniu bez ogródki, jak stoi sprawa ducha w wielkiej ojczyźnie. „Jeżeli — mówi autor — potężną, niezagładną idealność jednostki, nigdy nie wysychającą, pełną talentu, zestawić w Niemczech z odrętwiałą obojętnością mas, powodującą materyalne ubóstwo poezyi niemieckiej w porównaniu do Anglii i Francyi — doprawdy, poczuwa się żywą odrazę do tego narodu, w którym znamię najwyższego stopnia w cywilizacyi stanowi spinka u kamaszy i peruka z warkoczem. W niwelującej jednokształtności systematu pruskiego oryginalne dusze ulegają rzeczywiście powolnemu zduszeniu. Dzięki Bogu za to przynajmniej, że kiedy poeci wymrą, nie będą już potrzebowali gniewać się do śmierci." Autor więc, dla ochłonięcia ze wstrętu, zwraca się do Anglii, a następnie do Francyi. Byron, Shelley, a przedewszystkiem Zola, oto imiona brzmiące jego uchu nieskończenie milej, aniżeli nawet „Jego Ekscelencya Apollo, tajny radca (Goethe).

Z powodu Byrona, autor podaje znakomitą charakterystykę poety nowoczesnego, jeżeli ten — jak właśnie Byron — umie podsłuchać najgłębsze tętno ducha swego czasu. Dla Zoli nie znajduje dosyć wyrazów uwielbienia. Dziełem Zoli, uprawniającem go do otrzymania królewskiego berła w realizmie, jest jego powieść: *Germinal* — wspaniała alegorya nowoczesnego społeczeństwa i jego stosunków do praw żelaznej konieczności. Powieścią tą, Zola jednym rzutem stanął obok twórców Fausta, Kaina, Rolli... „Wprawdzie Zola zawsze mieć będzie ten przywilej wyższości, że jest francuzem, to jest, że należy do ludu najbardziej wykształconego pod względem literackim."

Zdaniem autora, do realizmu wyłącznie należy przyszłość literatury. Ma się rozumieć — nie do pseudo-realizmu. Bo kto jego duszę upatruje w tem, ażeby istotę ludzką przedstawić, jako czystą grę zwierzęcych instynktów, jako machinalną logikę grubego samolubstwa, popełnia taki sam błąd niesprawiedliwości, jak frazeologiczny idealizm. Człowiek nie jest ani machiną, ani zwierzęciem— jest człowiekiem, tj. zagadkową, nieznaczną istotą, w której duchowe natchnienia i fizyczne instynkty wojują z sobą na śmierć i do śmierci. Taka walka, uchwycona u samych podstaw, a postawiona przez poetę na wysokości poglądu na wszechświat, podała przedmiot do owych arcydzieł grozy i okropności, przed któremi słabe dusze, przed którmi „wszystkie kobiety obojej płci," jak przed Saisem, z trwogi skamieniećby mogły. Taka wszechświatowa boleść politycznego wieku rewolucyi znalazła swój wyraz w Werterze, René, Childe - Haroldzie. Wszechświatowa boleść dzisiejszego wie-

*) Der eine mit dem Schnabel, der andere mit dem Sabel.

ku żelaznego uzyskała dla siebie wieczne sformułowanie w *Germinalu*. Jako wyborną ilustracyę tej prawdy estetycznej, autor podaje streszczenie powieści Kraszewskiego *Dajmon*. Tak więc nasz banita, którego przynajmniej w zecerskich kasztach nie dosięgnie wiekopomny dekret, spotyka serdeczne uznanie, wychodzące z ust literata, żarliwego niemca, ale poczciwego człowieka.

L. F.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pomnik dla Piusa IX na Wawelu. — Leon XIII podnoszący aureolę swego poprzednika. — Wesoły pochód jubilatów. — Lekceważenie w szacunku. — Nasz demokratyzm. — Pracownia Bujwida. — Obraz ciężkich wysiłków i jego ramy. — Polak zaczął — francuz skończy. — Rok konkursów. — Sejm abonentów *Tygodnika ilustrowanego*. — Literatura nieporozumień i sztucznych wyniesień.

Mnie i was bardzo tanio kosztował pomnik dla Piusa IX od „polaków:“ nie zapłaciliśmy bowiem nic za ten hołd a zostaliśmy uznani za jego uczestników. „Przez trzy lata — powiada komitet w swem sprawozdaniu — powtarzała się ta intencya: „na pomnik Piusa IX na Wawelu i nabrała znaczenia *powszechnego* wotum, tem ważniejszego, że popartego ofiarą, a *żaden głos* w tym okresie wpływania składek nie wystąpił z jakimkolwiek zarzutem przeciw samej myśli pomnika lub przeciw wskazanemu miejscu.“ I to nam zapomniano, że występowaliśmy zarówno przeciw myśli, jak i miejscu! Dzięki. Ażeby nie naruszać „powszechnego wotum“ nawet drobnym brakiem naszego głosu, gotowi jesteśmy dostroić go do ogólnej harmonii, złożonej z parafian, księży, arystokratów i wszystkiego, co ich łaską żyje. Te bowiem głównie żywioły, według sprawozdania, złożyły 14,990 złr. 35½ c., spełniwszy święty obowiązek z nadpłatą kilku tysięcy guldenów, które pozostały po pokryciu kosztów pomnika. Przewyżka owa uwalnia nas od potrzeby wymówienia niektórym parafiom galicyjskim, że zdobyły się zaledwie na jeden „papierek,“ chociaż im niewątpliwie księża wytłomaczyli, czemu dla nas pamięć zmarłego papieża „na zawsze świętą być powinna.“ Bądź co bądź, Pius IX lepiej wyszedł na uczuciach naszych, niż Mickiewicz.

Przyznać muszę, że jeśli nie takiego tryumfu, to jednak względnego szacunku jest on godzien. Przed sześciu laty, gdy mu zamierzono postawić pomnik na Wawelu, zdało mi się, że dni naszego rozsądku niepowrotnie mijają. Ale zaczął się odsłaniać i nareszcie stanął w całym swym uroku Leon XIII. Przypatrzywszy mu się niedawno, jak błogosławił twórcę praw wygnańczych „krzyżem Chrystusa“ a swym owieczkom posłał na pociechę obcego pasterza, uczułem sympatyę ku Piusowi IX i gdybym był księdzem, parafianinem lub arystokratą, złożyłbym ofiarę na jego pomnik. Z tego samego powodu radzę członkom komitetu, ażeby nie kpili z bliźnich swoich. Czcząc zmarłego papieża statuą, mogli, chociaż z pogwałceniem prawdy, ogłosić to „wotum“ za „powszechne,“ ale jeśli powiadają, że „to nie pomnik tylko tego, co było, ale także zapowiedź, zakład (?) tego, co w przyszłości będzie i utrzyma się“ — figlują z łatwowiernym ogółem. Kawałkiem owej „przyszłości“ są rządy Leona XIII, które chyba zasługują na pomnik z niewolniczych dusz, wiecznie leżących w prochu przed tronem „ojca św.,“ bez względu na to, czy on jest „ojcem“ i „świętym,“ czy też...

Tak dużo zużywamy pokory w poddaństwie, że aż nam brak sprawiedliwości w zwierzchnictwie. Od czasu do czasu naśladujemy Montyona i nagradzamy za cnotę służące, lokajów, kucharzów, furmanów itd. Bohaterowie i bohaterki przeprowadzani są przez kolumny *Kuryerów* śród wesołych oklasków, jako „rycerze bata lub miotły,“ „władczynie patelni“ — itp. Wystaw sobie czytelniku, żeś byłeś uczciwym stróżem kamienicy przez 25 lat u jednego pana, to znaczy: mieszkałeś z kilkorgiem dzieci w czterołokciowej, ciemnej, zadusznej budzie, obsługiwałeś chlebodawcę, zamiatałeś i pokrapiałeś bruk, strzegłeś mieszkań od złodziei, nie kradłeś, poprzestawałeś na 8 rs. miesięcznej pensyi, zrywałeś się z łóżka dziesięć razy na noc i w koszuli zimą otwierałeś bramę, znosiłeś wymysły i szturhańce pijanych lokatorów — itd. Nadchodzi 25 letni jubileusz twej wiernej służby — gospodarz wynagradza cię i poleca względom kuryerowych Plutarchów. Ci natychmiast przebierają się za „rycerza miotły“ i w humorystycznem oświetleniu ukazują publiczności, która bawi się ich konceptami. Co byś wtedy pomyślał, nie straciwszy godności? Pomyślałbyś:

Czemu oni ze mnie drwią? Czemu nie nazywają mnie po ludzku *stróżem*. lecz po błazeńsku „rycerzem miotły?“ Czy na to żyłem uczciwie, ażeby mi pochwałę opieprzono drwinami? Czy po to wyciągają mnie z mojej izdebki na widok publiczny, ażebym ich i ich czytelników zabawiał?

Kto wie, może podobne myśli napastują niejednego „rycerza miotły.“ W tygodniu ubiegłym pisma zaznaczyły kilka takich jubileuszów ośmieszonej cnoty. Jeden np. z bohaterów (woźnica) występował jako „urzędnik kozła“ z odpowiednio wesołym życiorysem. Przykre a znamienne są te psoty pióra. Przypominają one bowiem ciągle tę wzgardę dla niższych, która się ukrywa nietylko poza naszą pychą, ale nawet poza naszemi serdecznościami. Z pozoru niby cenimy charakter prostego człowieka, ale nie możemy się pozbyć złośliwego uśmiechu, który zaznacza różnicę między naszą dostojnością a cnotliwą czernią. Koniarza z pańskiej sfery nie przezwiemy „rycerzem bata,“ ale ubogiemu woźnicy bez skrupułu wszyjemy na plecy sarkastyczną łatkę. W człowieku niskiej warstwy, nawet wyjątkowo cnotliwym, widzimy i uwydatniamy przedewszystkiem „bat“ — jeśli on jest woźnicą, „miotłę“ — jeśli jest stróżem, „patelnię“ — jeśli jest kucharką. Reszta poza temi „insigniami“ mało dla nas warta.

Czy my istotnie daleko odeszliśmy od tej epoki, kiedy nasi poeci idealizowali lud w sielankach, a czytelnicy nim gardzili w rzeczywistości? Wątpię. Stary duch tkwi w naszym organizmie i odczuwa wstręty pańskie. Gdyby on był tylko śmiesznym, przestarzałym, a nawet dzikim! Gorzej — bo znieprawia zarówno szydzących, jak wyszydzanych. Jubilat bata lub miotły ogląda się w dziennikarskim portrecie i dostrzega jedynie to godła w karykaturze. Czy go to podnosi, uszlachetnia? Z drobnych komórek urabia się tkanka moralna człowieka, a jakie komórki powstawać mogą w naszym ludzie pod wpływem lekceważenia, mimowolnej nieraz i i mimowiednej odrazy?

Z góry patrzeć lubimy. Młody lekarz. dr Bujwid, wsparty zasiłkiem z Kasy Mianowskiego, odbył sumienne studya bakteryologiczne naprzód w pracowni Kocha, a następnie Pasteura. Wróciwszy od tego ostatniego, w prywatnćm swem laboratoryum przygotował płyny ochronne przeciwko wściekliźnie i rozpoczął szczepienia. Mocna wola, pozbawiona dostatecznych środków, zrobiła więcej, niż zwykle jednostkowe siły u nas dokonywają. Zważmy tylko, że codziennie dla utrzymania ciągłości w pracy potrzebny królik kosztuje około rubla — wydatek nie dla każdego lekki. A policzmy inne! Dotąd młody uczony, oprócz Kasy Mianowskiego, nie znalazł innego poparcia. Tymczasem ściągnęła do niego gromadka pokąsanych, żądających pomocy. Odmówić? Trudno. Do ciężaru badań trzeba dołożyć brzemię miłosierdzia. I oto przy ulicy Wilczej wyrósł filantrop, który ugina się pod tem zadaniem, bo do spełnienia go ma więcej dobrych chęci, niż zasobów. Radzibyśmy, ażeby uzyskano pozwolenie na publiczne składki, wtedy odezwalibyśmy się do czytelników naszych; tymczasem poznajmy ramy tego obrazu. Jedno z pism doniosło, że kilku pokąsanych, „którym dr Bujwid zrobił już cztery zastrzyknięcia,“ nagle inny lekarz wywiózł do... Pasteura. Zdarzenie proste. Swój, wystąpił bez krzyku i reklamy — więc na ufność nie zasługuje. Gdyby telegrafem zapytano Pasteura, badacz francuski odpowiedziałby niezawodnie: Bujwid wam zaszczepi tak dobrze, jak mój asystent. Ale gdzieby się podział szyk, doniesienia *Kuryerów* o nowej wyprawie — cała ta wrzawa, która się wydobywa nawet z małego nieszczęścia i przeciw której żadne szczepienia zdrowego rozsądku nie pomogą? Rdzenie wściekłych królików odpowiednie już mamy, lekarza, umiejącego je zastrzykiwać, również — ale przejście na ulicę Wilczą do młodego polaka — to nie podróż do Paryża!

W roku bieżącym niewielu chyba uchowa się między nami szczególnych ludzi, którzy nie przyjmą udziału w jakimś turnieju. Od paru miesięcy cały kraj konkuruje o różne nagrody: jedni wypasają bydło, konie i owce na wystawę, drudzy piszą dramaty, inni — książeczki ludowe, podręczniki mularskie, nowele i fejletony, inni malują obrazy i rzeźbią, inni pływają łódkami — słowem, wyścig jest tak powszechny, że pozostają nam już tylko konkursy bardzo drobne — na najlepsze obcinanie cygar, najzręczniejsze noszenie lasek, najumiejętniejsze lornetowanie w teatrze itp. Obecnie odbywa się walny sejm prenumeratorów *Tygodnika ilustrowanego*, którym redakcya już przedstawiła do wyboru trzy poezye i rozpoczęła drukować trzy powiastki, rozesławszy kartki do głosowania. Prasa publicznie nie głosuje, gdyż nie chce wywierać nacisku na wyborców. I ja więc, szanując ich wolność, nie wyjawiam swego zdania, tem bardziej, że dotąd nic mocno odbijającego od piór znanych do popisu nie stanęło. Statystyka wtedy tylko uczy, kiedy jej cyfry zbierane są w wielkim zakresie. Chociaż więc konkurs *Tygodnika* poznajomi nas z gustem literackim pewnego koła nieliteratów, byłoby ciekawem dowiedzieć się, jaki stosunek zachodzi między opinią ogółu o różnych pisarzach, a sądami krytyków. Nie ulega wątpliwości, że różnica bywa tu nieraz znaczną. Może żadne inne piśmiennictwo nie zawiera tyle nieporozumień, tyle wielkości sztucznie podniesionych i utrzymywanych życzliwemi ramionami, tyle przekonań narzuconych, jak nasze. Są u nas bardzo chwaleni i dymem kadzideł otaczani autorowie, pozbawieni zupełnie talentu, zanieczyszczający literaturę badylem najmizerniejszego gatunku, są raki, zaliczone do ryb w naszem bezrybiu. Czytając ich nieudolne wypracowania, a zwłaszcza wydawane im patenty na znakomitości — trudno oczom własnym wierzyć. Natomiast umysły wysokiej potęgi — jak np. Prusa — traktowane są lekceważąco i mieszane z chudym, piać i gdakać umiejącym drobiem. Niepodobna, ażeby społeczeństwo, chociaż ciągle bałamucone przez krytyków złej wiary lub lichej wiedzy, nie dochowało w sobie poczucia różnicy między wielkiem a małem, pięknem a szpetnem, talentem a nieudolnością.

Poseł Prawdy.

NA WIDNORĘGU.

Przyczynek do „wielkiej kwestyi.“ — Zatruty staw.— Przykład ofiarności i dokładnych informacyj. — Odpowiedź kronikarzowi *Dziennika łódzkiego.*

Nie chcę przesadzać, ale nie omylę się jednak chyba, jeżeli powiem, że nietylko o p. Mierzwińskim lub p. Kochańskiej, ale o wieczorkach welnianych, wyprawie do Kamerunu po „złotą“ małpę, ofiarowaną teraz właśnie jako najcenniejsza zdobycz podróży zwierzyńcowi warszawskiemu, a może nawet o „exsiccatorze“ p. Rittera więcej zadrukowano papieru w prasie warszawskiej, aniżeli o położeniu materyalnem ludu polskiego. Do pisania o tej ważnej sprawie nawoływał p. Prus, wtórzyło mu kilka słabszych głosów — nie pisał zaś nikt. Dopiero w jednej z rozpraw, nagrodzonych na konkursie *Gazety rolniczej* p. Kaczkowski poruszył pytanie: ile pracuje chłop polski? —i odpowiedź na nie postawił w związku z drugiem pytaniem: jak się chłop żywi?

W przedostatnim numerze *Tygod. ilustrowanego*, opierając się na podanych przez p. K. cyfrach, zabiera głos p. Prus i wygłasza swoje „drobne uwagi o wielkich kwestyach,“ którem są właśnie: masy chłopskie, ich stan zdrowia, praca i wogóle byt materyalny. Nie powtarzam tu argumentów, jakimi autor walczy w obronie prawd, które gdzieindziej wydają się już utartymi komunałami, dla większości jednak czytelników polskich są jeszcze zdaniami nowemi i wątpliwemi. Zgadzając się z p. Prusem w tych jego uwagach, przejdę odrazu do właściwej treści artykułu i dotknę szczegółów, które pragnąłbym uzupełnić lub oświetlić z innej strony.

„Dlaczego kraj nasz, mający dość przyzwoite bogactwa naturalne i zaludnienie, wynoszące przeszło 3,000 ludzi na mili kwadratowej — jest jednakże materyalnie ubogi?“ — pyta autor i odpowiada: dlatego, że nasze masy ludowe bardzo mało pracują.

Na to zdanie zgadzam się chętnie, ale z objaśnieniem, że praca tylko wytwarza wartości, czyli, co na jedno wychodzi bogactwo *kraju* i z tem uzupełnieniem, że bogactwo kraju nie zawsze chodzi w parze z zamożnością *narodu*. Na to zastrzeżenie zwracam uwagę czytelnika, może bowiem zdarzyć się, że chłop polski będzie pracować więcej niż teraz, więcej nawet niżeli chce p. Kaczkowski, i pomimo to będzie również biedny, jak jest, będzie jadł źle, jak dzisiaj je, lub gorzej nawet, wreszcie będzie wyradzał się fizycznie i umysłowo. Sam p. Prus pośrednio twierdzi to samo, mówiąc o rozłamie społeczeństw europejskich na dwie klasy, z których jedna „żyje na wysokości XIX wieku,“ a druga, liczniejsza „zakrzepła niekiedy... w epoce krzemiennej.“

P. Kaczkowski a za nim p. Prus obliczają, że 3,416,000 osób, należących do ludności wiejskiej i zdolnych do pracy, mogłyby pracować średnio przez 296 dni w roku, co daje olbrzymią sumę 1,011,136,000 dni roboczych. Odtrącając 297,001,888 dni na przeszkody klimatyczne, mniejszy udział kobiet, służbę wojskową i choroby, 169,019,460 na obróbkę większej własności ziemskiej a 219,458,350 na obróbkę gospodarstw chłopskich, otrzymamy resztę— 325,657,302 dni roboczych zmarnowanych. „Gdyby zaś liczyć każdy taki dzień tylko po 30 kop., wypadnie, że prawie 100 milionów rubli rocznie ginie dla kraju.“ O tych stu milionach rubli dużo dałoby się powiedzieć, znam wspanialsze nawet dary, jak np. p. Mittelstaedta, który za jednym zamachem ofiarował aż 70 miliardów, co prawda — całemu państwu rosyjskiemu, ale z tej olbrzymiej sumy z jakie 6 miliardów i dla nas by się okroiło. Nie o to mi jednak chodzi, tylko o dokładność podanych wyżej obliczeń. Nie wiem, czy przytoczone cyfry posiadają bodajby średnią wiarogodność, ale oprócz tego widzę w rachunku brak pewnych rubryk; niepoliczone są np. wcale roboty, które chłopi bądź to z obowiązku wykonywać muszą, bądź też spełniają je za pewną opłatą, jak: szarwarki, tłuczenie kamieni dla naprawy dróg bitych, roboty przy kolei itp. Następnie, często bardzo włościanie zajmują się przemysłem przewozowym i to nietylko odstawą własnego i dworskiego zboża lub drzewa, co zapewne policzonem zostało, ale również transportem towarów. Jakkolwiek w kraju naszym przemysł domowy słabo jest rozwinięty, zawsze jednak na wyrobienie nędznych jego okazów potrzeba kilkunastu mil. dni roboczych rocznie. Chłopi zresztą najmują się często do roboty w miastach, pracują w fabrykach, zwłaszcza w gorzelniach i cukrowniach, co stanowi znowu kilkadziesiąt milionów dni roboczych. A czy w poprzednich rubrykach mieści się obrabianie drzewa, flisactwo zajęcia w kopalniach itd.?

To jeszcze nie wszystko, bo i wtedy, kiedy nie ma całodziennego zatrudnienia, chłop zawsze spełnia jakąś robotę: to naprawia narzędzia i sprzęty domowe, to związuje porwane postronki, to plecie ze słomy kapelusz, lub kręci bicz, wreszcie jeżeli ma ogródek lub pasiekę, chodzi koło drzew i pszczół — drobne te zajęcia w ogólnej sumie dadzą również pokaźną cyfrę. Nie liczę robót niepłatnych dla pana pisarza gminnego, dla pana wójta, czasem dla księdza proboszcza itp., ale muszę zwrócić uwagę, że ludność wiejska odsiaduje także kilka milionów dni rocznie w więzieniach różnej nazwy, a więcej jeszcze traci czasu na zajęcia, że tak powiem, przygotowawcze do odpoczynku w kozie. Łowienie ryb w dworskim stawie, ścinanie i wożenie drzewa z dworskiego lasu — są przecież nietylko przewinieniem, ale również pracą. Dla dokładności, te, i tym podobne drobiazgi liczyć zawsze należy.

Gdybyśmy obrachowali szczegółowo wszystkie zaznaczone rubryki, okazałoby się, że z owych 325 mil. dni roboczych, przedstawiających 100 mil. rubli, nie wiele zostanie na ten sposób przepędzania czasu, który nazwany być może próżniactwem. Nie mogę zgodzić się więc na wyliczenie p. Prusa, który powiada, że każdy milion anglików przewyższa milion polaków o 50 do 100 milionów dni roboczych rocznie, „czyli że roczna wytwórczość angielska“ (chyba natężenie jej) „przewyższa polską o 20% do 50%, pomijając *jakość* pracy.“ Owszem, o jakości pomówimy właśnie niżej, tu dodam tylko, że przy obliczaniu ilości pracy przyjąć trzeba pod uwagę długość dnia roboczego, która u nas prawdopodobnie większą jest, niż w Anglii.

Chłop polski nie mniej czasu spędza przy robocie, niż jego kolega zachodnio-europejski, ale pracuje gorzej, czyli robota jego jest mniej intensywną. Nie *próżniactwo* więc chłopa, które zresztą i p. Prus podkreśla ironicznie, lecz głównie słabość i nieudolność jego „nie jest winą, ale jego nieszczęściem.“ Sprostowanie to nie narusza w niczem dalszych wywodów autora: chłop „źle“ pracuje, bo jest wątły, bo nie ma zdrowia i sił.

P. Kaczkowski wyjaśnia, dlaczego chłop nasz jest wątły; dlatego, że się źle żywi; spożywa on rocznie tylko 374 funty ziarna, 19 funtów mięsa i słoniny, 146 f. nabiału i 1,040 f. kartofli — gorzej żywi się chyba tylko irlandczyk, z którym również polak współzawodniczy co do płodności. Anglik zjada rocznie 195 f. mięsa, 625 mleka i 57 cukru; nic dziwnego, że pracuje lepiej, chociaż, powtarzamy, nie pracuje więcej.

W tem miejscu przypomnię sobie trzeba, że chociaż anglik pracuje lepiej i wytwarza więcej, nie zaspakaja jednak w zupełności niezbędnych swych potrzeb, czyli, że poprawa bytu materyalnego ludu, którą p. Prus słusznie nazywa najważniejszem zagadnieniem współczesnem, dąży nietylko do spotęgowania zdolności do pracy i zwiększenia wytwórczości ogólnej.

Poprawa bytu materyalnego ludu — oto hasło naszej epoki, kończy p. Prus. „Wszędzie o niej mówią, piszą, tworzą praktyczne lub fantastyczne projekty, wszędzie— wyjąwszy nas, jakbyśmy nie posiadali ludu, albo jakby między nim i nami zerwały się już wszystkie nici.“

Niestety, zdaje się, że na to ostatnie pytanie, wyrażone przypuszczalnie, trzeba będzie odpowiedzieć twierdząco. Jeżeli klasy inteligentne iść będą dalej starą drogą wyłączności samolubnej, nie dziś, to jutro zerwą się już ostatnie nitki, a nowych nie nawiąże nikt, lub raczej pojedyncze usiłowania są tak wątłe, że lada podmuch wiatru rozerwie tę przędzę pajęczą.

Prus z serca swego wysnuwa te nici braterskiej łączności i złoci je blaskiem swego talentu, nie poprzestaje jednak na tem, bo rozumie, że sieć ta powinna być gęstą i rozległą. Woła więc w zakończeniu swego artykułu o jakąkolwiek robotę w tym kierunku, bodajby o wyznaczenie konkursu na dzieło: „Jaki jest byt materyalny naszego ludu.“ Nie jesteśmy zwolennikami turniejów konkursowych, głosujemy jednak za tym, gdyż wywoła on przynajmniej próby zbadania życia i potrzeb ludu. Chociażby usiłowania te były nieudolne, warto zapłacić za nie tysiąc rubli, jeżeli corocznie większe daleko sumy wydajemy na wynagrodzenie niedonoszonych lub przenoszonych płodów dramatycznych.

Bo chociaż, jak to mówią w Warszawie, „sztuka jest jedynym dziś objawem naszego życia,“ chłop przecie jest jedyną podporą tego życia obecnie i jedyną nadzieją jego w przyszłości. Wyradzanie się fizyczne ludu, oprócz lichego i niedostatecznego odżywiania, ma przyczynę jeszcze w zaniedbaniu wszelkich warunków sanitarnych. W okolicach Łodzi np. istnieje staw, w którym woda od lat 10 zatrutą została farbami, odpływającemi z fabryk miejscowych. Właściciel sąsiedniego folwarku od 1876 r. toczy o to proces, dotychczas jeszcze nierozstrzygnięty ostatecznie. Tymczasem fabryki wciąż spuszczają zafarbowane zlewy do stawu, tak że wody jego mają dziś kolor atramentu, żadna istota żyć nie może w tej wodzie, żadna trawka nawet nie rośnie nad brzegiem. Wyziewy są tak silne, że w pobliskich domach wszelkie metalowe przedmioty czernieją, polewa na piecach przybiera barwę brunatną, a jednak w domach tych mieszkają, bo mieszkać muszą, ludzie, których własnością są te siedziby. W roku b. mieszkańcy folwarku, na którym znajduje się staw i miejscowości dokąd dochodzi zabarwiona woda, chorują na zapalenie oczu, mające charakter epidemiczny. O szkodliwości wyziewów sądzić można z tego jeszcze faktu, że wszystkie krowy na folwarku nie donosiły cieląt i poroniły. A kobiety?

Zebrała mi się spora wiązka faktów, dotyczących gospodarki pp. fabrykantów-niemców; dla braku miejsca muszę wszakże odłożyć opis tych czynów do następnego numeru. Tu zaznaczę tylko objaw, zasługujący na pochwałę, przykład ofiarności ze strony kapitału na rzecz pracy. *Prawda* dwukrotnie już oceniła moralne i społeczne znaczenie tego rodzaju postępków, stosując do nich właściwą miarę, nie będę więc powtarzał tych uwag, lecz przejdę wprost do samego faktu. Spadkobiercy zmarłego niedawno właściciela zakładów żyrardowskich K. A. Dittricha przeznaczyli 30,000 rs. do rozdania pomiędzy 600 robotników, którzy najdawniej pracują w fabryce.

Oprócz tego corocznie przeznaczoną będzie suma 3,000 rs. do podziału w równych częściach między 60 robotników, najdawniejszych z kolei po wynagrodzonych obecnie. Ofiarowana suma wpisaną została do książeczek oszczędności i od kapitału tego Towarzystwo płacić będzie najmniej 6%. Robotnicy, którzy przyjmują darowiznę, zobowiązują się składać rocznie po 3% od zarobków, taką samą sumę dopłacać winna również fabryka, w razie opuszczenia zakładów całkowita suma oszczędności wypłaconą będzie właścicielowi książeczki. Wszyscy obdarowani, z wyjątkiem jednego zgodzili się na te warunki. Tymczasem *Kuryer warszawski*, który tak gorliwie bronił sławy jeżdżącego na dziadach księdza, nie zawahał się oczernić kilkuset robotników, twierdząc, że większość ich odebrała natychmiast podarowaną sumę, nie chcąc wcale składać oszczędności i dodał kilka wytartych frazesów o braku u nas tej cnoty społecznej. Zarząd fabryki, chociaż dla siebie otrzymał pochwałę, zaprotestował przeciw tej wiadomości, rozumiejąc dobrze, że tego rodzaju postępek robotników, gdyby zdarzył się istotnie, kompromitowałby przedewszystkiem przedsiębiorców, bo świadczyłby, iż robotnicy nie posiadają do nich zaufania nawet w sprawie wypłacalności. Ze sprostowania okazuje się, iż jeden tylko robotnik odebrał swój udział, ale i ten uczynił to już po wydrukowaniu błędnej wiadomości w *Kuryerze*. Bodaj to sumienne i dokładne informacye.

Nieszczęśliwy kronikarz *Dziennika łódzkiego* skarży się znowu na *Prawdę*, za udzieloną radę, ażeby pismo łódzkie, zamiast licho płatnych umizgów do różnych bawełnianych i wełnianych królewiąt, wzięło na siebie raczej obronę interesów klas pracujących. Wydelegowany do odpowiedzi kronikarz, który widocznie z całej redakcyi *Dziennika* posiada najobrotniejszy język, chociaż zarazem i najsłabszą inteligencyę, potrafił wygłosić tylko: „czynimy, co nam każe obowiązek dziennikarski." Ten fakt, który p. Sarmaticus dwuznacznie podkreśla, że wycieczkę *Prawdy* przedrukował *Warszawskij Dniewnik*, świadczy, że taka działalność, o której mówiliśmy nie potrzebuje obawiać się „prezentacyi." Reszta obrony—to już proste insynuacye, jak np. mieszanie tendencyi *Prawdy* z wystąpieniami *Roli* lub *Chwili*, bo p. kronikarz *Dziennika* chociażby bardziej był ograniczonym, jeżeli to możliwe, niż jest w istocie, rozumie dobrze, że każde z wymienionych pism napada na *Dziennik* ze swego punktu widzenia. Gdyby nawet w pewnych szczegółach nastąpiło między nami i pismami temi spotkanie, my nie lękamy się tego zarzutu, czy tej insynuacyi. My dążymy swoją drogą i nie pytamy, czy kto idzie po niej z nami lub za nami i z drogi tej potwarz lub zła wiara zwrócić nas nie mogą, zwłaszcza, jeżeli te posądzenia szyte są tak licho i tak widocznie nićmi osobistego interesu, jak argumentacya kronikarza bawełnianego *Dziennika*.

J. Nieborski.

LUDWIK TEICHMANN.

W d. 3 lipca Akademia umiejętności, wszechnica krakowska i ucząca się młodzież uczciły obchodem uroczystym dwudziestopiątą rocznicę działalności profesorskiej dr. L. Teichmanna, który, jako sumienny uczony i dobry obywatel, zasługiwał w zupełności na to odznaczenie. Dr. Teichmann jest obecnie wice-prezesem Akademii i przewodniczącym w jej wydziale przyrodniczym, oraz profesorem anatomii opisowej w uniwersytecie jagielońskim, którego poprzednio był rektorem.

Urodzony w Lublinie w 1823 r., po ukończeniu szkół uczęszczał na teologię w Dorpacie, porzucił jednak wkrótce to niewdzięczne pole i rozpoczął studya lekarskie w Hejdelbergu, skąd przeniósł się do Getyngi i tam otrzymał stopień doktora medycyny, oraz posadę prosektora przy zakładzie anatomicznym. W 1856 r. dano mu stypendyum dla zwiedzenia znaczniejszych zakładów anatomicznych w Europie; po powrocie z podróży został prywat-docentem anatomii i fizyologii. W 1861 r. powołano go na profesora anatomii patologicznej do Krakowa, a w 1868 r. zamianowano profesorem anatomii opisowej. Gorliwym jego zabiegom i pracy zawdzięcza Kraków pierwszorzędny zakład i muzeum anatomiczne. Sumienne spełnianie obowiązków profesorskich ograniczyło działalność naukową dra Teichmanna, której poświęcać nie mógł wiele czasu. Niemniej wszakże niezbyt liczne, ale poważne jego prace specyalne cieszą się zasłużonym rozgłosem w świecie naukowym. Wszystkie one nie wybiegają poza odznaczony ściśle zakres badań, nie będziemy więc suchem wyliczaniem ich obarczać czytelników, nadmienimy tu jednak, że dokonane przezeń badania składu krwi zwróciły na siebie powszechną uwagę uczonych i nawet odkryte przezeń kryształy krwi nazwano jego imieniem. Oprócz tego prof. Teichmann wynalazł nowy sposób przyrządzania preparatów anatomicznych i wogóle w specyalności swojej jest uczonym poważnym, jakich, niestety, w innych gałęziach wiedzy posiadamy niewielu.

Jako profesor dr Teichmann odznacza się wyborną metodą wykładu i umiejętnem kierownictwem naukowych zajęć studentów; młodzież ceni te zasługi, czego dowiodła urządzeniem obchodu na cześć jego, chociaż jako nauczyciel Teichmann jest surowym i wymagającym, zaciętym nieprzyjacielem wszelkiej blagi i frazeologii naukowej.

Młodzież zresztą ceni w nim nietylko znakomitego uczonego, lecz i prawego obywatela, który nie sprzedał swych przekonań niezależnych i nie sprzeniewierzył się zasadom postępu, będącym jednocześnie zasadami prawdziwej nauki. Surowość i niezłomność przekonań politycznych Teichmanna odbija się wyraźnie na tle krakowskiem, zwłaszcza zaś wśród kolegów jego, którzy katedry naukowe przemienili na mównice dla popisów stronniczych. W stosunku do uczącej się młodzieży jest on szczerym jej przyjacielem i życzliwym opiekunem, nie przyjmował nigdy udziału w prześladowaniu swobodnych dążeń, ani też w gaszeniu ognia zapału dla spraw ogólnych, który raczej rozdmuchiwać należy.

Kraków często urządza rozmaite obchody, nie wiadomo nieraz z jakiej racyi; jubileusz jednak dra Teichmanna wyróżnia się od tych sztucznych uroczystości. Był on hołdem oddanym prawdziwej nauce i niezaprzeczonej zasłudze, świadczy o tem nietylko taki fakt, jak np. chętny udział w nim młodzieży, ale również liczne dowody uznania, nadesłane z różnych stron kraju i z zagranicy od znanych uczonych i towarzyszów pracy jubilata.

PRASA ROSYJSKA.

Warszawskij Dniewnik zamieszcza korespondencyę z Siedlec:

„Przy ulicy Floryańskiej od dawna istniała już w naszem mieście restauracya, utrzymywana przez pewną wdowę, będącą przed tem przez lat 15 gospodynią u księdza w powiecie Garwolińskim, na której to restauracyi widniał szyld z napisem: „tania kuchnia," u dołu zaś pod oknami napisy: „śledzie marynowane," „masło świeże," „ogórki kwaśne" itp. Dziwnem wszakże wydawało się policyi, iż restauracya rzeczona odwiedzaną bywała przeważnie przez same kobiety, wyłącznie służące, które nie potrzebując obiadów tanich, jeżeli mogły uczęszczać do kuchni taniej, to jedynie w celu nabywania tam "artykułów spożywczych, czego wszakże nie stwierdziły obserwacye, większość bowiem z nich, wychodząc z zakładu, nie wynosiła zeń żadnych zakupionych prowizyj.

Dokonana w dniu 1 czerwca rewizya w kuchni taniej, wykryła, iż zakład ten, zamiast przygotowywania „flaków" i „kiełbasy z kapustą," pod przybraną firmą ukrywał zupełnie inne cele. W większej liczbie znalezionych tam książeczek, przeważnie religijno-moralnej treści, z wybitnymi tytułami, a należących do wydań krakowskich i poznańskich i zupełnie jeszcze nieużywanemi — znajdowały się pomiędzy innemi miodopłynnemi księżowskiemi kazaniami następujące perły: „Jak brudna lawa rozlali się kozacy i moskale po ruskich i litewskich województwach," „Intrygi politycznej Rosyi," a w książkach bractwa „Serce Jezusowe" krakowscy księża-mędrcy mówią, iż oni księża stoją wyżej ponad aniołów i Matkę Boską, iż prawdziwa wiara jest tylko jedna katolicka i że wszyscy, niewyznawający takowej są heretykami, odszczepieńcami, którzy nie dostąpią nigdy zbawienia. W znalezionym zaś rękopisie ustawy dla sług, której autorem jest bezwątpienia ksiądz, poleca się: odmawiać w ciągu dnia pięćdziesiąt cztery razy „Ojcze nasz," w południe i wieczór czynić „rachunek sumienia," spowiadać się co tydzień, zmieniając cztery razy do roku księdza, o spowiedzi zaś mówić z wielką ostrożnością i wogóle być skrytą. „Przełożonej" słuchać absolutnie, gdyż przedstawia w swej osobie Jezusa Chrystusa. Bez wiedzy jej nie pozwala się ani zmieniać modlitw, ani przyjmować rad, ani listów od kogokolwiek, nie pisać takowych, chyba do księdza, wreszcie nie spełniać nawet „dobrego uczynku." Przy pomocy wyuczonych według takiej ustawy służących, księża, pomimo szkody, jaką przynoszą w ten sposób i służącym i państwu, mają możność lepiej od wszelkiej policyi poznać najdrobniejsze szczegóły życia domowego nietylko polskich, lecz i rosyjskich rodzin i stosować do nich swe postępowanie. Ustawa poleca również zwracanie się do „przełożonej" o specyalną instrukcyę na każdy miesiąc.

Obecnie kuchnia tania została zamkniętą, a zdobiący ją szyld usunięty przez policyę"

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprostowanie. Ktoś zwrócił uwagę jednemu z pism, powtórzoną przez inne, że w Najwyższym rozkazie, wydanym 5-go marca 1870 r. do naczelnika wydziału drugiego Jego Cesarskiej Mości kancelaryi, wyrażono: „*Ne upotrebłat' bolieje w Swodie Zakonow wyrażenja Priwislanskija gubernii, a imenowat' ich: gubernijami Carstwa Polskawo*, (Nie używać więcej w Zbiorze Praw wyrażenia: gubernie Nadwiślańskie, nazywać zaś je: guberniami Królestwa Polskiego)." Prawo to pozostaje w swej mocy; w roku zeszłym rada państwa przytoczyła powyższe słowa w swoich motywach."

— Dwa największe dzienniki rosyjskie *Nowosti* i *Nowoje Wremia*, toczą z sobą zaciętą polemikę, której wzorki podawaliśmy kilkakrotnie. Obecnie wre nowy spór, do którego wmieszaną została ubocznie *Prawda*. *Nowoje Wremia* podniosło odezwy krytyki polskiej o literaturze rosyjskiej i przytoczyło między innymi artykuł *Prawdy* o A. Ostrowskim. *Nowosti*, chcąc dokuczyć przeciwnikowi, wyraziły zdziwienie, że *N. Wremieni* podobał się artykuł, który właściwie jest tłomaczeniem studyum p. Skabiczewskiego, zamieszczonego w *Nowostiach*, o czem jakoby *Prawda* oznajmiła. Na to *Nowoje Wremia* odpowiedziało już po prostu wymyślaniem, oskarżając współzawodniczący dziennik o zuchwałe kłamstwo. W rzeczywistości artykuł *Prawdy*, który jest tylko skromnem wspomnieniem pośmiertnem, nieroszczącem sobie bynajmniej prawa do tytułu „głosu krytyki polskiej" ani do miana oryginalnej pracy, nie ma nic wspólnego z obszernym artykułem p. Skabiczewskiego, z którego przytoczyliśmy tylko kilka zdań, trafnie — według naszego mniemania — charakteryzujących zmarłego, zaznaczając to w odpowiedni sposób. W zapędzie polemicznym *Nowosti* popełniły więc omyłkę i słuszność faktyczna w danym wypadku jest po stronie *Nowego Wremieni*.

Rozporządzenie. *Odesskij Wiestnik* donosi, że ministeryum komunikacyj poleciło zarządowi dróg południowo-zachodnich przyjmować do służby tylko prawosławnych pochodzenia rosyjskiego, w wyjątko-

wych zaś wypadkach i nie rosyan, lecz koniecznie prawosławnych.

Komisya rządowa wysłana została do Sosnowic, dla zbadania nadużyć fabrykantów-niemców, którzy nie zachowują obowiązujących przepisów administracyjnych.

Drogi żelazne. Długość linij kolejowych w państwie rosyjskiem wynosiła w początku r. b. 25,379 wiorst.

Wynalazek. P. Grabiński, technik z Zawiercia, wynalazł przyrząd do nawłóczenia zerwanych nitek w czółenkach tkackich, zabezpieczający zdrowie robotników. Dotychczas wykonywanie tej czynności było bardzo uciążliwem i zabójczem dla zdrowia, jeżeli więc przyrząd p. Grabińskiego pomyślany jest praktycznie, wyświadozy on wielkie usługi i znajdzie szerokie zastosowanie.

Matejko — jak donosi *Gazeta warszawska* — maluje nowy obraz, przedstawiający „Kościuszkę pod Racławicami."

Wynagrodzenie. Redaktorowie dzienników konserwatywnych w Prusach zachodnich otrzymali w nagrodę za usługi oddane rządowi patenty na utrzymywanie kantorów loteryi!

Wyścigi psów, z zachowaniem wszelkich formalności, jak np. wybór prezesa, wiceprezesa, sędziów, uroczyste rozdawanie nagród itd., odbyły się w okolicy Gostynia. Czy i te wyścigi mają „znaczenie obywatelskie?.."

Wychodźtwo z Litwy do Ameryki wzmaga się z każdym rokiem. Niedawno w Kownie policya aresztowała agentów i zabrała im kilkaset kart na przejazd z Hamburga do New-Yorku. Handel tego rodzaju kartami prowadzi się w Kownie na wielką skalę.

Emigracya. W ciągu 5 pierwszych miesięcy r. b. wyemigrowało z Niemiec do Ameryki i innych części świata 33.977; wychodźtwo do krajów europejskich europejskich nie wchodzi w tę cyfrę.

Zmarli. Kardynał Guibert, arcybiskup paryski, znany z gwałtownych wystąpień.

— Sławomir Stecki, współpracownik kilku pism warszawskich i prowincyonalnych, pisał dużo i nie bez talentu; umarł w 30 r. życia.

— Jakób Elzenberg b. nauczyciel szkoły rabinów, autor wielu dziełek pedagogicznych i popularnych, jeden z pierwszych pionierów oświaty i zbliżenia ludności żydowskiej do ogółu mieszkańców kraju.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Jan. Albert. Podajemy opuszczoną w przeszłym numerze cenę rs. 1 kop. 10.

Niebiesk. czł. Odczuwamy i pojmujemy to dobrze.

P. St. Jer...iczowi. Może, ale z pewnemi zmianami koniecznemi.

Dr. St. w Kr. Uhr. Pomimo starań nie mogliśmy; rs. 3 pozostaje do pańskiego rozporządzenia.

P. J. E. w Lubl. W opracowaniu tego obrazka za mało sztuki, a za dużo powszedniości.

Ogłoszenia.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studyum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Cena kop. 60.

NIZINY

powieść

Elizy Orzeszkowej

wydanie ozdobne, z **ilustracyami** E. M. Andriollego.

Cena rubel jeden.

Nakład Autorki, do nabycia we wszystkich księgarniach.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekscie rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze **Spółki (Zielna 7-A)** kosztów przesyłki nie ponoszą.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Całość **rs. 5**, każdy tom pojedynczy **rs. 1. kop. 50.**

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacyach. — Kocha nie kocha? — Katarynka. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pominięty. — Przeklęte szczęście. — Przy księżycu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Pleśń świata.

Tom drugi:

Orestes i Pylades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pograniczu. — Echa muzyczne. — Pan Dudkowski i jego folwark. — Grzechy dzieciństwa.

Tom III: powieść p. t.: „Anielka." (Chybiona powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli."

Przesyłający pieniądze **bezpośrednio** do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

W Administracyi **Prawdy** nabyć można:

J. Brandesa

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).

Tom V, zawierający Szkołę romantyczną we Francyi, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1 k. 50.**

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową)

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Іюля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**